

Diabelski plan

[Z] [Adventure] [Violence]

Autor: Hoffman

Pre-reading: Foley

~ Część pierwsza ~

Działający w różnych rejonach Zebryki zwiadowcy, w porozumieniu z agentami rozsianymi po określonych regionach Êevalonii oraz wtyczkami w Equestrii, przez długie miesiące gromadzili niezbędne informacje. Przygotowali obszerny raport, dużo dłuższy od tych, które regularnie przesyłali do Mareborka. Archibald czekał na ten moment z utęsknieniem oraz napięciem, toteż nie dziwota, że z owym sprawozdaniem zapoznał się jeszcze tego samego dnia. Był przekonany o bezbłędności swojego planu, a teraz nareszcie miał skonfrontować się z rzeczywistością.

Kolejne karty raportu chłonał żarliwie, raz drżąc z dzikiej satysfakcji, raz wybrzmiewając złowrogim śmiechem. Wszystko szło doskonale. Można by rzec, że cieszył się jak dziecko, czytając dokładnie o tym, o czym wiedział już dawno, że tak się stanie. Niemalże dokładnie tak, jak to sobie wyobraził. Wprawdzie nie było to idealne odwzorowanie jego wizji, w poszczególnych szczegółach, szczegółikach, rzeczywistość okazała się odmienna, niemniej nie rzutowało to na rzecz najważniejszą – rozkaz o rozpoczęciu ostatniej fazy jego doskonałego planu.

Od chwili, w której raport trafił na stół, upłynęło niespełna pięć dni. W międzyczasie do Mareborka powrócili pozostali zwiadowcy, przynosząc kilka dodatkowych informacji o ostatnich poczynaniach zebr i gwardzistów. Potężny ogier stał rozpostarty nad mapą południa oraz dodatkową mapą, prezentującą gigantyczną sieć dróg, na niemalże całym obszarze Zebryki. Był to koncept oryginalnie wymyślony przez Fenrira „Pogromcę” von Ashfalla, lecz nie zrealizowany przez niego osobiście z powodu braku środków finansowych i niewystarczającej siły roboczej. Zresztą, staremu „Pogromcy” z pewnością nie starczyłoby czasu, by zobaczyć jak jego plan zostaje wcielany w życie, nie wspominając o efektach. Miał szczęście, że prowadzone pod koniec jego życia intensywne prace dały chociaż załazek tego, czym dysponował dziś Archibald.

Pierwsze podboje Zebryki okazały się kluczowe w pozyskaniu tego, co było potrzebne do przeniesienia niezliczonych szkiców i opisów do rzeczywistości. Rozpoczął to

syn Fenrira „Pogromcy” von Ashfalla, a dokończył wnuk, który dziś stał o krok od wykorzystania całego potencjału diabelskiej broni, zdolnej zgnieść nie tylko opór ze strony pozostających na wolności zebr, ale nawet sił Equestrii. O jej istnieniu wiedziało wąskie grono doradców i wojskowych, z którymi dziś spotkał się Archibald.

Nie przypuszczał, że doświadczy tego osobiście w tak krótkim czasie. Ta potężna esencja, euforia wypływająca z doskonałości własnego planu, a także czysta radość doglądania jego rozwoju aż do tego finalnego momentu. Miał świadomość, że udało mu się wywieźć w pole cały cywilizowany świat – czerpał nie lada uciechę z tego, że wszystko pracowało dla niego. Pegaz był przekonany, że wrażenie to znali jedynie wybrańcy, którzy faktycznie zdobywali ten świat, kształtując jego przyszłość na pokolenia.

Jednocześnie był przekonany, że wybrańcem nie był ani Hermes, jego własny syn, ani Fenrir, siostrzeniec, czym jednak niespecjalnie się przejmował. Wierzył, że byli oni zaledwie narzędziami w jego kopytach, zaś prawdziwy wybrańiec – następca Archibalda – jeszcze się nie urodził. Wszystko w swoim czasie.

– Panie, jesteśmy gotowi przygotować operację w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Otworzymy przejścia i przystąpimy do realizacji ostatniej fazy w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin od zakończenia przygotowań. Czekamy na pańskie wytyczne.

Archibald uśmiechnął się, nie odrywając wzroku od mapy.

– Już żadne wsparcie nie idzie pod „zenit”?

– Zdecydowanie nie. Ponadto została potwierdzona informacja, że jedna z kluczowych wojowniczek po stronie zebr nadal przebywa na obszarze „patos”. To ona odpowiada za nadzwyczajną defensywę zebr – rzekł sprawozdawca. – Wprawdzie w „zenicie” przebywa najsilniejszy z wrogich wojowników, ale w zastanych okolicznościach spodziewamy się złamać jego oddział znacznie szybciej.

– Dobrze. Chociaż wtenczas „patos” może się okazać trudniejszy do zdobycia – zauważył Archibald. Nastąpiła po jego słowach cisza nie potrwała jednak długo. – Uruchomimy zatem trzeci wariant dla tego obszaru – oznajmił.

– Tak jest!

Archibald pokiwał spokojnie głową, zatrzymując wzrok na obszarach położonych najbliżej granicy z Equestrią. Rejony Mababu Moyo oraz Bahari zostały opatrzone kryptonimem „demencja”, zaś rejon Salamy – „entropią”.

– To tutaj można dać wariant czwarty. Niech wezmą „demencję” jako pierwszą – polecił Archibald, spoglądając na swoich podwładnych i stukając kopytem w odpowiednie miejsce na mapie. – „Entropia” niech pozostanie nienaruszona możliwie jak najdłużej, na wypadek, gdyby ewentualny odwrót z „demencji” albo „zenitu” skierował się w tamtą stronę.

– Prędszej z „demencji”, panie. „Zenit” będzie całkowicie odcięty.
– Prawda. Ale dopuszczam do siebie myśl, że jakieś pasiaki się prześlizgną. Należy to przewidzieć – skrzydlaty ogier obstał przy swoim.
– Tak jest!
– W porządku... – mruknął Archibald, powracając do mapy. Zastanowił się nad podjętymi decyzjami, co doprowadziło go do wniosku, że nie warto było dłużej zwlekać. – Pora przystąpić do działania – oznajmił, przenosząc wzrok na posłańców. – Spiszcie wszystkie rozkazy i przekazcie je głównodowodzącym. Decyzja jest ostateczna i nie będę tolerować żadnych opóźnień.

Pióra poszły w ruch jeszcze zanim Archibald zdążył wypowiedzieć do końca ostatnie zdanie. Cierpliwie czekał aż kucyki skończą zapisywać, po czym podyktował jeszcze kilka dodatkowych informacji, w oparciu o które miały zostać zrealizowane elementy planu dla Mareborka oraz pozostałych regionów, w tym Colshire, gdzie urzędował Hermes. Następnie poprosił o wgląd do dokumentu, by upewnić się, że zapiski są w pełni zgodne z jego wolą. Wyzbywszy się wątpliwości, przypieczętował rozkazy i przekazał dokumenty posłańcom. Ci ukłonili się, po czym bezzwłocznie opuścili salę.

Grobową ciszę, jaka nastąpiła wraz z zamknięciem wrót komnaty, potrwała tylko chwilę. Zburzył ją szelest papieru. Archibald przeniósł swój przenikliwy wzrok na sprawozdawcę, który sprawnymi ruchami zwinął mapy i porządkował stół.

– Czy mój siostrzeniec nadal żyje? – spytał.
– Tak, panie. Nasi zwiadowcy potwierdzili, że nadal walczy. – Sprawozdawca nie wydawał się ani trochę zaskoczony usłyszonym pytaniem.
– Rozumiem. – Pegaz poskubał się w brodę. – Możesz się oddalić.
– Tak jest, panie. Proszę oczekiwać raportów z pola bitwy. Nie zawieziemy waszej mości.

Archibald uniósł jedną brew i zadarł nosa, pogardliwie spoglądając z góry na swojego poddanego. Oczywiście, że go nie zawiodą – wszakże to on napisał scenariusz tego tryumfu. Wszystko, co musiały uczynić te kucyki, to odegrać swoje role. Historia, którą wymyślił dla tej części świata, już niebawem miała się ziścić.

Bez jakichkolwiek dostrzegalnych okiem emocji, ogier udał się korytarzami cytadeli w kierunku głównej klatki schodowej. Wkroczył na stopnie, po czym leniwie skierował kroki ku szczytowi twierdzy. Nie osiągnął go jednak, pozostał na jednym z najwyższych pięter. Przechadzał się powoli, wciąż nie zdradzając absolutnie niczego. Uśmiechnął się od ucha do ucha dopiero gdy w jednej z sal zastał znajomą klacz.

Zabierając sprzed lewego oka piękne loki, a po chwili odrzucając za siebie całą, bujną rudą grzywę, wyprostowała szyję, uniosła z lekka brodę i zaczęła spinać włosy, przeglądając

się w szerokim, powieszonym nad kanapą lustrem. Zawijając wstążkę, zerknęła na odbicie przekraczającego próg Archibalda. Puściła mu oczko.

– Wszystko postanowione? – spytała pogodnym tonem.

– Owszem. Będą stawiać opór, będą walczyć do upadłego, ale na końcu i tak ich zmiażdżymy – odparł ze spokojem ogier. – Okazało się, że jest ich więcej, niż zakładałem. Może to nas kosztować więcej... perswazji.

– Czyżbym wyczuwała subtelny obawę?

Pegaz lekko się skrzywił, na moment zrywając kontakt wzrokowy. Zirytowany, choć tylko odrobinę, rozejrzał się po komnacie, jakby w poszukiwaniu czegośkolwiek, co mogłoby mu pomóc w znalezieniu odpowiednich słów. Jednakże klacz uprzedziła go i odgadła, co takiego nawiedziło jego myśli. A raczej, kto taki.

– Czyżby pionek wciąż stał na szachownicy? – zapytała, na co Archibald zatrzymał się i niechętnie skinął głową, marszcząc nieco czoło. – Chyba nie ma możliwości dotrzeć na drugą stronę i stać się inną figurą? Na przykład, hetmanem?

– Hetmanem, toż cię poniosło – odparł, kpiącym tonem. – Nie, to absurd. Nawet jeśli do tej pory się wymykał, życia nie zostało mu wiele. Chociaż... – głośno myślał, skubiąc się w brodę. – Faktycznie, jakim cudem on ciągle żyje? Powinien być martwy. Chyba, że stary wyga wpadł na lepszy pomysł jak jeszcze można by go wykorzystać.

– A ty jesteś tym skonsternowany. Czyżbyś jednak zaczął odczuwać jakąś więź?

Pokręciwszy głową, pegaz podszedł bliżej. Klacz wciąż układała częściowo upiętą z tyłu grzywę. Swobodnie się przeglądała, nie zwracając zbytniej uwagi, że tuż za nią stał wyraźnie zadowolony z jej kształtów Archibald. Dawła mu jedynie drobne znaki, że była chętna. Ogier pomału położył jedno kopyto na jej łopatce, zbliżył usta do jej szyi i czule ją ucałował, jednakże nie był w nastroju na cokolwiek więcej.

– Wiesz, że bywam litościwy – zaczął. – Skoro już się znalazł na tym świecie, niech przynajmniej wie kim jest. I dlaczego go tu nie chcę. Tyle mogę mu zaoferować, od serca.

– „Serca”... – rzuciła kpiąco klacz, chichocząc złowieszczo.

– Wiesz jaką miałem ochotę go zatłuc, jak mnie zapytał czemu poza mną i Hermesem nie ma tu innych Ashfallów? – rzucił gniewnie Archibald, opuszczając partnerkę.

– Domyślam się, acz z drugiej strony, skąd miał wiedzieć? – zapytała, podążając wzrokiem za ogierem, który na powrót zaczął przechadzać się po komnacie. – W ogóle, ten przybłąda to ciekawy przypadek. Nic z niego nie wyciągnęłam, uwierzysz?

Archibald parsknął pogardliwie i pokręcił głową.

– Już palicho, że sama próbowałam jakkolwiek na niego wpłynąć, ale, kurczę, te moje znajome. Sama widziałam, jak go nęciły. Niejeden raz. I nic – opowiadała. – Rita to się nieźle zaangażowała, nie powiem, że nie. Chyba naprawdę uwierzyła, że coś z tego będzie.

– Przecież Rita to kretynka – zauważył Archibald.

– I dlatego nawet by do siebie pasowali. Ale nic z tego. Sama już nie wiem. Ciekawa jestem tej equestriańskiej dziewczyny, z którą się spiknął. To znaczy, jaka ona jest, skoro za żadną inną ani się nie obejrzał, ani... no, wiesz co.

– Nie łam tym sobie głowy. I tak niczego to nie zmieni.

– Pewnie nie – mruknęła, wciąż zajmując się fryzurą. – Jeśli wolno wiedzieć, co będzie z twoim synem? – spytała.

– Coś ty się taka ciekawska ostatnio zrobiła? – rzucił Archibald, co skrzydlata klacz uznała za żartobliwą zaczepkę. – Hermes ma swój kawałek ziemi, niech robi co chce. Mnie interesuje jak zachowa się podczas szczególnych działań. To jest jego ostateczny test – odpowiedział, nie kryjąc pewności siebie.

– A ty oczywiście jesteś przygotowany na każdą możliwość z jego strony?

– W rzeczy samej. Ale wątpię czy ma to, czego trzeba by zostać... kimś. – Zamyślił się przez chwilę. – Osobiście wątpię, czy miałby zapisać się na kartach historii jako jej współtwórca – dodał.

– Ha! Jeden niegodzien nosić swego nazwiska, a drugi, zwykły bękart, wierny jak pies i głupi jak pies – skomentowała klacz.

– Być może. Jak powiadają, „każdy pies ma swój dzień”.

– Tak, pamiętam. Cóż, mam nadzieję, że zamiast byle psów, jednak to ja będę miała okazję się wykazać. I przysłużyć do czegoś sensownego.

– O to jestem spokojny. Udowodniłaś mi już nie raz, że jesteś godna, Valerio.

* * *

Bładym świtem, niemalże idealnie w porze zmiany warty, obrzeża Mababu Moyo zatrzęsły się, gdy maszerujące ku twierdzy siły nieprzyjaciela wreszcie dały o sobie znać. Pasiąści zwiadowcy przeżyli szok, kiedy zdali sobie sprawę jak liczne oddziały Ćevalończyków atakowały miasto. Ale jeszcze większy szok nadszedł, kiedy dotarło do nich to, że w gruncie rzeczy ci zbrojni przybyli dosłownie znikąd.

Było to o tyle bardziej zagadkowe, o ile znakomita część regionu, aż do Shoti oraz Kilele, była przez zebry kontrolowana i regularnie patrolowana. Nie było zatem możliwości, aby umknął im jakiś przemarsz. Nie tracąc czasu, zwiadowcy zadęli w rogi, stawiając na równe nogi pierwszą linię obrony południowych obrzeży Mababu Moyo.

Wśród pasiastych wojowników znajdowali się użytkownicy run, którzy mieli w zanadru nie tylko pomniejsze lub większe znaki ofensywne. By dotrzeć do Mababu Moyo, nieprzyjaciel musiał pokonać dosyć szeroki obszar, który zawczasu został usłany specjalnymi minami runicznymi, podobnymi do tych alchemicznych, które były znane w Equestrii. W

prostej konstrukcji zaklęto potężną energię, która miała reagować na zbliżających się Ćevalończyków, a co mieli odczuwać naznaczeni wojownicy. W ten sposób mogli łatwo określić z której strony nacierali wrogowie. Ubytki w polu minowym miały być na bieżąco zastępowane znakami o dalekim zasięgu, byle jak najdłużej prowadzić walkę dystansową.

Runy zaczęły działać natychmiast jak Ćevalończycy podeszli zbyt blisko, zwracając uwagę naznaczonych. Nastąpiła seria potężnych huków, a rozsadzona ziemia wybiła ku górze, w akompaniamencie wrzasków pechowych żołnierzy. Ci, którzy znaleźli się zbyt blisko, odczuli gorąco na swych pancerzach. Kto zdążył się oddalić, ten przeżył, a kto zlekceważył ostrzeżenie, zgotował sobie śmierć w niewyobrażalnych męczarniach, gdy rozgrzane zbroje zaczęły palić ciało, z czasem doń przywierając.

Kiedy powstały w wyniku wyładowań pył zaczął opadać, zebry spostrzegły następne oddziały, które z fanatycznym wręcz zapalem nacierały przed siebie, niewzruszone agonią swoich towarzyszy. Naprzód wystąpili użytkownicy run. Zainicjowali inkantację, uderzając w Ćevalończyków kilkoma bardzo silnymi strzałami. Skały, na których wryto znaki, uległy rozpadowi, uwalniając naładowany mocą pocisk, który z oszałamiającą prędkością dosięgł celu. Część z nich przeszła w locie kilku nieprzyjaciół, ale inne zostały sparowane. Kiedy okazało się, że ich energia może zostać odbita, pasiaste kucyki sięgnęły po runy wyższej klasy, należące do grupy znaków defensywnych.

Choć przeważnie runy te wykorzystywano do poprawienia własnej obrony oraz uczynienia sojuszników niewrażliwymi na określone rodzaje obrażeń, tym razem postawiono wysoką barierę, oddzielającą zebry od Ćevalończyków. Miała ona postać półprzezroczystych ścian, odsuniętych od siebie o kilkanaście metrów. Zatrzymując się tuż przed nimi, nieprzyjaciele poczęli gorączkowo poszukiwać przerw, przez które mogliby się przedostać.

Podczas gdy jedni wściekle próbowali rozbić ściany, drudzy znaleźli drogi obejścia, jednak zebry były przygotowane również na tę ewentualność. Zanim druga strona się spostrzegła, aktywowane zostały kolejne znaki, a przerwy między barierami, jak również obszary o kształcie półkola po jednej i drugiej stronie, wybuchnęły płomieniami. Ćevalończycy zawyli z bólu, kiedy ogień zaczął trawić ich ciała. Na ich nieszczęście, piekielne gorąco oddziaływało na bariery, toteż pozostali w popłochu oddalili się jak najdalej od nich.

Powietrze w tamtej okolicy w ciągu zaledwie kilkunastu sekund stało się gorące i suche, powodując u wielu duszności czy utratę przytomności. W wyniku tak intensywnych, tak szybkich inkantacji, zebry zaczęły gwałtownie tracić siły, zaś ich umysły ulegały zmęczeniu. Uzdrowiciele podjęli interwencję, pomagając pobratymcom w ustaniu na własnych nogach i podając odpowiednie eliksiry.

W mgnieniu oka do użytkowników run powróciła witalność, wzrok uległ wyostreniu, a myśli uspokoiły się, umożliwiając klarowną analizę zastanej rzeczywistości. Ta przypominała piekło na ziemi, pogrążone do dna w agonalnych krzykach i zawodzeniach. W jeziorze ognia nadal dało się dostrzec sylwetki nieprzyjaciół. Gdyby zebry podeszły bliżej, zauważyłyby płonącą sierść ich nieprzyjaciół, co z czasem odsłaniało pokrywającą się czerwienią i czernią skórę.

– Prędko! – krzyknął pasiasty ogier, przywołując do siebie pięciu użytkowników run.
– Zbierzmy się i połączmy swoje znaki!

Na tę komendę zebry dobiły kolejnych run, tym razem układając je w szeregu na ziemi, a następnie synchronicznie uderzając w nie prawym kopytem. Silnie skupiając myśli, zainicjowały wymagającą inkantację, która po raz kolejny wystawiła na ciężką próbę zarówno ich siły fizyczne, jak i ducha.

Połączone znaki run negacji zaczęły zmieniać strukturę postawionych wcześniej barier, jak również energię podtrzymującą ogień. Było to rozwiązanie ryzykowne, bo odkryte stosunkowo niedawno i przez to jeszcze nie opanowane w pełni przez nikogo, ale zadziałało. Moc run zaczęła gromadzić energię zniszczenia w epicentrum, czemu towarzyszyła czerwona poświata. Całe środowisko w promieniu kilkuset metrów pokryło się aurą, a narastająca moc pozwalała poczuć się zmysłami. Zrobiło się parno, wzrok stracił na ostrości, obserwowany obraz lekko się zniekształcił, podobnie jak docierający do uszu dźwięk.

Usiłując doprowadzić inkantację do końca, zebry pomału zaczynały się łamać. Jeden ogier przyklęknął i spuścił głowę, z trudem zachowując świadomość. Ogólna moc spadła, zaś ciężar podtrzymania run spadł na pozostałych. Drżeli, zaciskali zęby, uparcie walczyli z własnymi ograniczeniami, porywając się na tytaniczny wręcz wysiłek, zarówno dla ciała, jak i ducha. Trwało to przez jakiś czas, aż w epicentrum pojawiła się karmazynowa mgielka, zza której zaczęły wydobywać się pojedyncze promienie światła.

Na wydaną komendę, energia run ochrony zamieniona została w energię niosącą zniszczenie, co spowodowało kolejną, jeszcze potężniejszą eksplozję, która strzaskała barierę na drobnusieńkie kawałeczki, które, niesione falą, przeszły kolejne szeregi nieprzyjaciela niczym gigantyczny, przerażający szrapnel. Wywołany podmuch poniósł energię jeszcze kawałek dalej, a ziemia pod kopytami Ćevalończyków wybuchła, wyrzucając ich pod niebo.

Zebry całkowicie opadły sił. Uzdrowiciele, zaraz po tym, jak odzyskali ostrość widzenia i pełną przytomność umysłu, pospieszyli w ich stronę. Czym prędzej zaczęli wykonywać podstawowe badania. Pozostali przygotowywali eliksiry, opatrunki oraz nosze, aby zabrać zmęczone zebry jak najdalej od pola walki, ewentualnie na drugą linię obrony, o ile w niedalekiej przyszłości mogły jeszcze zawalczyć. Gigantyczne ilości energii, jakimi

posłużyli się ci wojownicy, spowodowały dotkliwe oparzenia, a także niekontrolowane drgawki. Dwie zebry zakrzuszyły się własną krwią, gdy ich życie zawisło na włosku.

Ci, którzy byli przygotowani na walkę w zwarcu, wystąpili naprzód, gotowi przyjąć na siebie kolejne natarcie nieprzyjaciela. Nie byli pewni czy za chmurą pyłu, zmieszaną z czerwoną mgiełką unoszącą się nad parującym podłożem, wciąż znajdowali się jacyś zbrojni. Oczekiwali w napięciu, zwarcu i zdeterminowani. Nie zamierzali dać za wygraną. Wiedzieli aż za dobrze, że lada moment poleje się krew.

Mieszanina pyłu i oparów mocy wciąż unosiła się przed pasyastymi wojownikami, kiedy niespodziewanie do ich uszu dotarł przeraźliwy ryk. W jednej sekundzie uświadomili sobie co nadciąga zza drugiej strony. Ich hart ducha okazał się znaczyć niewiele wobec nacierających szaleńczo wiwern. Lecąc nisko nad ziemią, wyłoniły się zza oparów, wściekle rycząc na zebry i z miejsca wbijając w nie swe kły, gdy tylko znalazły się wystarczająco blisko.

Jak się miało wkrótce okazać, te kilka, kilkanaście wiwern było jedynie przedsmakiem tego, co najgorsze, bowiem z oddali wyłoniły się kolejne zastępy Ćevalończyków, formując potężne, prawe skrzydło, które uderzyło w atakujący na dystans punkt pierwszej linii obrony Mababu Moyo. Znajdowali się tam pasiaści łucznicy, którzy zamiast ostrzeliwać wiwerny z flanki, musieli spotkać się z ostrzem nieprzyjaciela. Siły Archibalda bezceremonialnie zaczęły masakrować strzelców, podczas gdy skrzydlate potwory bezlitośnie rozprawiały się z resztą wojowników.

Te wiwerny były znacznie silniejsze, niż te, z którymi obrońcy Mababu Moyo walczyli poprzednim razem. Latały szybciej, wykazywały wyższą odporność na ostrze oraz obuch. Z diabelską precyzją wbijały kły w szyję lub tułowia zebra, natychmiast porywając je i rozszarpując, czemu za każdym razem towarzyszyła odrażająca chmura krwi i odrzucane na boki części ciała. Zaraz po tym pikowały ku kolejnym celom. Nierzadko używały swych szponów, powodując rozległe, głębokie rany, o ile nie zabijały swych ofiar na miejscu.

Łucznicy bohatersko stawiali opór nieprzyjaciołom, dając czas rezerwom, aby w porę zasilili szeregi pierwszej linii obrony. Niestety, w obliczu tak nagłego zwrotu akcji, ich morale załamały się niemalże całkowicie. Na domiar złego, pył opadł, a dym rozpląnął się, ujawniając kolejne siły nieprzyjaciela: dziesiątki, setki zbrojnych, depczących ciała swych kamratów, napierające naprzód, ku niemalże całkowicie rozbitej pierwszej linii obrony Mababu Moyo.

Doskonale wytresowane wiwerny na chwilę przerwały rzeź, kierując swe gadzie ślepie w stronę Ćevalończyków. Zatrzepotały skrzydłami, po czym wzbiły się w powietrze, omijając zebry i ulatując dalej, w kierunku kolejnej linii obrony, aby ostatecznie osiągnąć południowe Mababu Moyo. Ocaleli spośród pasyastych obrońców zostali pozostawieni na

pastwę nacierających sił nieprzyjaciela. Nie było mowy, aby byli w stanie odnieść zwycięstwo w tej walce. Mogli jedynie poświęcić swe życia i spróbować zadać jak największe straty. Pogodzeni ze swym losem, podnieśli się, zgrupowali, po czym stanęli przeciwko przeważającym liczebnie szeregom wroga, którym i tak nie mogli dać rady.

* * *

Teriyo źle przyjął wieść o rozbiciu pierwszej linii obrony Mababu Moyo, a także kolejnych starciach z wojskami Archibalda, w których pasiaści wojownicy nie radzili sobie tak dobrze jak zakładał. Pierwsza linia nie była aż tak liczna, ale zebry miały do dyspozycji ulepszone znaki runiczne, wzbogacone o możliwość ich łączenia. Kosztowało to mnóstwo sił i wiązało się z ryzykiem, lecz ogier miał nadzieję na wykorzystanie potencjału tej mocy w taki sposób, by nieprzyjaciel przeznaczył najwięcej zapła na sforsowanie barier. Zmęczonymi Ćevalończykami mieli zająć się wojownicy, przy asyście strzelców. W razie kłopotów miał im ruszyć na pomoc oddział wsparcia z drugiej linii obrony.

Pasiasty ogier nie miał cienia wątpliwości, że wróg wykorzysta w walce tresowane bestie, lecz nie sądził, że w takich ilościach. Ponadto wydawało się, że te wiwerny były groźniejsze niż te, z którymi zebry miały najwięcej doświadczenia. Nie dość, że potworów, podobnie zresztą jak zwykłych żołnierzy, przybyło dużo więcej, to jeszcze potyczka rozstrzygnęła się tak szybko, że wojownicy nie zdążyli wysłać prośby o posiłki z kolejnej linii obrony. Choć Teriyo miał nadzieję zmęczyć nieprzyjaciela przy pomocy lepszych znaków runicznych, ostatecznie to jego krajanie byli tymi, którzy zbyt szybko stracili siły i potencjał. Plan awaryjny zakładał rozpylenie gazu maskującego i dołączenie do drugiej linii obrony, lecz nawet na to zabrakło czasu.

Ogier odetchnął z ulgą kiedy nadeszły pierwsze meldunki z trwających tam potyczek. Tym razem na Ćevalończyków czekało więcej zebr – łącznie sześć oddziałów, wspieranych przez pięć rozmieszczonych w strategicznych punktach grup strzelców, polegających również na machinach bojowych. Jak dowiedział się Teriyo, salwy z balist zestrzeliły kilka wiwern, choć strzelcy mieli na swoim koncie więcej trafionych stworów. Doskonałej jakości łuki i wyćwiczone do granic możliwości oczy wygrywały z mechanizmami maszyn. Jednakże nie byłoby mowy o sukcesach, gdyby nie specjalna trucizna przeciwko wiwernom, którą nałożono na groty strzał i oszczepy.

Dopiero teraz Teriyo nabrał lepszego pojęcia ilu dokładnie walczyło Ćevalończyków i jak byli oni wyposażeni. Poleciał przygotować znaki run zniszczenia i zaopatrzyć w nie wojowników, póki najbliższe okolice miasta znajdowały się pod kontrolą zebr. Miał dylemat, czy wysłać na drugą linię obrony jakieś oddziały z Mababu, ale ostatecznie postanowił zaryzykować i poczekać na dalszy rozwój wydarzeń. Na podstawie pozyskanych informacji udało mu się stwierdzić, że jeżeli nieprzyjaciel nie otrzyma żadnego znaczącego wsparcia, wówczas wojownicy powinni odnieść sukces. Nie chciał jeszcze opuszczać gardy, zwłaszcza,

że popełnił już jeden błąd i odniósł straty. Poza tym, spodziewał się, że Ćevalończycy zaskoczą obrońców oddziałami wsparcia, które nadejdą z innej strony. Chciał zatrzymać w Mababu Moyo jak najwięcej wojowników.

Dziesięć minut później nadeszły nowe meldunki i kolejna ulga. Zebry zaczynały odpierać Ćevalończyków, zaś z nieba zniknęły wiwerny. Niestety, ta ostatnia nowina nie napawała Teriyo zbytnim optymizmem. Nie wiedział jak wiele potworów miał do dyspozycji wróg na początku, a ile z nich na chwilę obecną zostało zestrzelonych, a zatem nie sposób było określić jak wielkie zagrożenie czało się za chmurami.

Zwiadowcy w napięciu wypatrywali wiwern nad miastem. Na wszelki wypadek wydano rozkaz dla operatorów machin, aby zaczęli kalibrować mechanizmy i przygotowywać ładunki do wystrzału. Trzy minuty później ktoś przekazał, że wypatrzył przez lunetę rozbłyski i eksplozje – efekty wykorzystania runy zniszczenia. Zebry skierowały przeciwko natarciu nieprzyjaciela magiczne strzały oraz uderzenia obszarowe.

Sytuacja wyglądała na opanowaną, chociaż Ćevalończycy nie odpuszczali. Niedługo po tym, ku ziszczeniu najgorszych obaw obrońców miasta, rozległy się przerażające ryki i z nieba na Mababu Moyo runęły wiwerny. Skrzydlate bestie szczyrzyły kły, a świst wywołany ich manewrami zasiał grozę w sercach zebr. Zachowując przytomność umysłu, operatorzy wycelowali ładunki i wyrzucili je ku nacierającym potworom. Strącili dwie wiwerny, pozostałe cele wprowadziły się zachwiały, lecz już po chwili podleciały wyżej, by wściekle zapikować ku katapultom.

Operatorzy nie działali bez obstawy. Ciężkie korbacze i włócznie powstrzymały potwory, choć liczyło się to z opóźnieniem załadowania kolejnych pocisków. Jeszcze zanim operatorzy otrzymali szansę na wycelowanie, rozległy się kolejne potępięcze ryki, a po chwili na niebie pojawiły się nowe potwory.

– Smoki! – ktoś wrzasnął.

Kreatury te były łudząco podobne do zwyczajnych wiwern, tyle, że miały zniekształcone pyski, inny kolor łuski i większe rogi. Ponadto, długie szpikulce wyrastały nie tylko wzdłuż grzbietu, ale także z innych partii ciała, dało się też dostrzec znacznie większą niż u zwyczajnych wiwern rozpiętość skrzydeł. Istoty te przez jakiś czas krążyły wokół fortyfikacji, przerażając swym rykiem. W pewnym momencie zaczęły czymś ziać, wskutek czego powietrze stało się suche, gryzące, a zaatakowane zebry padały na ziemię, kaszląc i dusząc się, jednakże nigdzie nic nie zapłonęło.

Teriyo otarł czoło z potu. Nie mógł teraz tracić głowy. Wiedział, czym były te potwory, więc bezzwłocznie udał się w inne miejsce, by to obwieścić. Miał nadzieję, że historie o napawających paniką rykach były nieprawdziwe, bo gdyby sam wrzask bestii mógł

powodować u niektórych utratę zdrowego rozsądku, wówczas o wiele trudniej będzie na nowo się zorganizować i walczyć.

– Bez paniki, to nie są smoki! – krzyknął ogier. – To rdzawe wiwerny! Uwaga na siarkowy oddech! Uderzajcie w kark!

Nie musiał powtarzać dwa razy. Wojownicy unieśli oręż i zaczęli mierzyć w słaby punkt wiwern – nieosłonięty przez łuskowy pancerz kark, w którego wystarczająco silne uderzenie mogło potwora sparaliżować, czy nawet zabić na miejscu. Zebry miały już do czynienia z tym rodzajem stworów, jednak do dziś mylnie identyfikowały je jako smoki.

W obliczu nowego zagrożenia, obrońcy musieli wystrzegać się używania w walce ognia. Siarkowe oddechy wiwern roztaczały chmury duszącego gazu, który mógł się zapalić i eksplodować. Płomienie nie czyniły większej krzywdy potworom, lecz z pewnością były zabójcze dla nieparzystokopytnych. Teriyo postanowił zmienić taktykę. Oszczędzał swoje runy, gdyż w jego ocenie nacierające potwory dało się zwalczyć metodami konwencjonalnymi. Skądinąd widział, że większość populacji rdzawych wiwern nie dała się w żaden sposób ujarzmić, ani tym bardziej wytrenować do udziału w bitwach. Najprawdopodobniej przeciwnik nie miał w zanadrzu zbyt wielu ziejących siarką istot. Po prostu wypuścił na wolność to, co schwytał.

Niemniej fakt, iż rdzawe wiwerny zostały użyte do ataku na Mababu Moyo, był niejednoznaczny. Teriyo spodziewał się, że najsilniejsze bestie zostaną wykorzystane do ataku na kluczowe terytoria Zebryki. Na przykład obleganego przez jego pobratymców Ngome Hatma. Skoro ktoś wysłał te wiwerny tutaj, wówczas albo zignorował siły zebr rozmieszczone w innych regionach, albo miało się tam stać coś dużo gorszego. Czyżby Gigantaje? A może zupełnie nowe potwory?

Teriyo musiał jak najszybciej porozumieć się z pozostałymi miastami, głównie z Bahari, Salamą, a także Kilele. Chciał wiedzieć, czy atak na Mababu Moyo był skoordynowany, czy też w innych częściach kraju nie dostrzeżono żadnych wrogich żołnierzy. Jeżeli było to pojedyncze natarcie, wówczas dlaczego właśnie teraz i dlaczego Mababu Moyo? Sprawa była niejasna, jakby gdzieś brakowało spoiwa, które mogłoby połączyć poszczególne jej aspekty.

Póki co, należało kontynuować zażartą walkę o miasto. Nie obawiać się, nie wycofywać, tylko mężnie przeć naprzód i uderzać we wroga dwa razy mocniej – do utraty tchu, za krew, za honor. Poza murami wciąż trwały ciężkie starcia, ale wewnątrz nich sytuacja była stopniowo opanowywana. Teriyo postanowił, że jak tylko uda się odeprzeć siły nieprzyjaciela, roześle gońców do poszczególnych miast, aby zdać relację z działań pod Mababu Moyo i zasięgnąć języka.

Jeżeli miało dojść do kilku skoordynowanych ataków, w różnych częściach kraju, być może należało spróbować przewidzieć kolejne ruchy nieprzyjaciela albo podjąć szczególne działania. Tylko dlaczego żaden zwiad aż do ostatniej chwili nie donosił o niczym nadzwyczajnym?

* * *

Złe samopoczucie dokuczało Quoirze już o mglistym poranku, wraz z upływem czasu klacz czuła się coraz gorzej. Groza wypełniająca jej serce była powodowana przytłaczającymi znakami, które wyczuwała niemalże na każdym kroku. Zresztą, nie jej jednej intuicja sugerowała coś złego. Pasiaste kucyki, zmagając się z narastającym poczuciem bezsilności, doskonale zdawały sobie sprawę, że nadciągało coś złego, lecz nie potrafiły zorientować się, co dokładnie.

Dużo później zmęczone beczynnością zebry zaczęły spacerować po okolicy, lecz bez konkretnego celu. Ich kroki były bardzo powolne, ostrożne. Uważnie obserwowały zachmurzone niebo, raz po raz wymieniając się spojrzeniami. Powoli zaczynały oswajać się z własnymi odczuciami oraz wiszącą w powietrzu, ciężką atmosferą. Zaczęły rozmawiać, dzielić się hipotezami. Jedynie Quoirza pozostawała mocno skonsternowana. Zaszła nad brzeg morza, gdzie poświęciła się głębokiej medytacji. Jej długą grzywę nieustannie targała chłodna bryza. Z zamkniętymi powiekami dryfowała pośród odgłosów natury, starając się wytrwać w zadumie, w poszukiwaniu dusz żyjących wokół niej istot. Pragnęła porozumieć się z nimi na mistycznej płaszczyźnie i poszukać ukojenia albo wskazówek. Chciała wezwać zwierzęta na pomoc. Czuła, że bez sił natury jej krajanie mogli nie podołać.

Obecni w Bahari najemnicy wydawali się całkowicie odporni na moc, która drenowała zebry z odwagi. Przechadzali się obok nich, kompletnie nieświadomi tego, co przeżywały. Dla nich była to po prostu cisza przed burzą – możliwym starciem z regularnymi jednostkami nieprzyjaciela. O ile, ich zdaniem, ktokolwiek w ogóle miał szansę przejść przez krainę i podejść pod Bahari.

Nie wiedzieli jeszcze o tym, co się działo w Mababu Moyo i że Archibald właśnie rozpoczął ostatnią fazę swego strasznego planu.

Fenrir, w pełnym rynsztunku, wyszedł z namiotu i przeszedł przez obóz najemników. Później, gdy przyszło mu przemierzyć miasto, wykorzystał czas na obserwację zebr. Trwał w dosyć nietypowej dla niego powadze, lecz była to jedynie maska. W głębi duszy bał się, trwożył przed tym, co miało się wydarzyć. Pamiętał, co miał czynić. Przygotowywał się do tego tygodniami, a dzisiaj, najprawdopodobniej, jego nowo nabyte zdolności miałyby zostać poddane próbie. Zebrą nie był, bynajmniej, lecz w swej niepewności odczytywał różne rzeczy z oblicz pasiąstych kucyków, niemalże jak z otwartych ksiąg. Wszystko zwiastowało najgorsze.

Breeze Cracker również czuł się nieswojo. Było z nim całkiem dobrze, toteż mógł walczyć, aczkolwiek w jednostkach wsparcia, nie na pierwszej linii. Mimo wytycznych, często opuszczał obóz i podążał za Fenrirem. Ostatnimi czasy niebieski pegaz znacząco się wyciszył, spoważniał. Trenował niemalże każdego dnia i to w zasadzie było wszystko, co docierało do oczu i uszu kucyków z Equestrii. Ziemski ogier obawiał się, że przez tę dziwną zmianę stracił w zasadzie jedyne osobnika, z którym mógł nieco pogadać i odstresować się, zapomnieć dlaczego i po co tu trafił.

Niebieskiemu pegazowi znów urosły mięśnie, przez co wydawał się jeszcze szerszy i jeszcze wyższy. Czy to jakaś osobliwość pegazów południa, że odpowiednio intensywny trening tak radykalnie wpływał na sylwetkę bez znaczącej utraty szybkości lotu? Jego lekki pancerz nawet nie osłaniał większości korpusu – był przeznaczony głównie na grzbiet, zapewne po to, by nie przeszkadzać przy manewrach. Całość trzymała się ciała dzięki pasom, do których przytroczono pozostałe elementy... ekwipunku? No chyba, bo na dodatkowe elementy pancerza to nie wyglądało. Ogier nosił również lekki hełm oraz ochraniacze na wszystkie kończyny.

Jak domyślał się Cracker, zbroja ta pozwalała zachować mu jego zwinność w locie. Lecz kto wykonał ten pancerz i kto wykuł specjalny oręż? Najpewniej elementy rynsztunku wykonali pasiaści rzemieślnicy. Sęk w tym, że ostatnim razem, kiedy Cracker się temu przyglądał, zebry żywiły do Fenrira niechęć, trzymały go na dystans, nie godząc się na wspólne treningi. Czyżby zmieniły zdanie?

Jakby dłużej nad tym pogłównkować, ostatnio pegaz spędzał z Quoirą mnóstwo czasu. Początkowo Cracker sądził, że rozmawiał z nią o runach. Ale, jakkolwiek niewiele Fenrir zdradzał o swoich ostatnich obowiązkach oraz zobowiązaniach, akurat to zawczasu naprostował – bynajmniej nie chodziło o runy i nie zamierzał nauczyć się ich używać. Co jakiś czas Bahari było odwiedzane przez delegację z Salamy, dzięki czemu działające tutaj kucyki wiedziały co się działo na zachodzie oraz w państwie księżniczki Celestii. Z nimi też Fenrir spędzał sporo czasu, kiedy tu byli.

Breeze Cracker polegał na Fenrirze trochę tak, jak młodszy brat polega na starszym. Przeczuiwał, że bez niego po prostu by sobie nie poradził i bardzo szybko spotkałoby go coś bardzo złego. Nie podobało mu się to, że był teraz taki cichy, zdystansowany. Bał się, że pasiaste kucyki wpychały pegaza w pułapkę, z czego ten jeszcze nie zdawał sobie sprawy.

Coś wisiało w powietrzu. Zebry wyczuwały zagrożenie, ciężące nad krainą zło ciemniejszych, lecz on miał wrażenie, że gdzieś w Zebryce już teraz działy się straszne rzeczy, a kwestią czasu było, zanim tragedia spadnie na Bahari.

Miał rację.

* * *

Quoira była waliochaguliwą run przywołania. Znacząca większość życia upłynęła jej na cierpliwej medytacji, głównie nawiązywaniu coraz silniejszej więzi z naturą oraz zwierzętami. Od najmłodszych lat starała się zrozumieć świat, który ją otaczał, z czasem poznając runy przywołania oraz ich wielką, ukrytą moc. Miała niejedną okazję zobaczyć na własne oczy okrucieństwo Ćevalończyków. Bardzo szybko dołączyła do wojowników i poświęciła się walce o niepodległą Zebrykę, jednocześnie doskonaląc swoje umiejętności, nieustannie poszerzając przy tym wiedzę. Godziła to ze sobą bez trudu i była z tego dumna, choć z początku nie przypuszczała, że ciężka praca wyniesie ją do rangi waliochaguliwy.

Żyjąc blisko natury i poznając jej tajniki, nauczyła się wykorzystywać duchowe więzi do walki. Może raz po raz kierowała nią brawura, lecz gdy tylko mogła, rzucała się na ratunek faunie i florze Zebryki. Czuła gargantuiczne poczucie obowiązku oraz odpowiedzialność. To było coś, czego, w jej odczuciu, zbyt długo nie czyniono, a co przecież wpisywało się w walkę o wolność. Pamiętano o walce z wrogimi żołnierzami, odzyskiwaniu utraconych ziem, lecz zapominano o pielęgnowaniu natury oraz przywracaniu więzi z roślinami oraz zwierzętami.

Środowisko nie pozostawało dłużne. Ilekroć Quoira wzywała naturę na pomoc, ta wybawiała ją z oparów, nie omieszkła też, choć krok po kroku, napępiać ją coraz większą mocą. Zebra była za to wdzięczna, sumiennie dedykując całe swoje życie walce o wolną Zebrykę, a także zobowiązując się dać naturze dom, który będzie godny jej majestatu.

Niedawno Quoira po raz pierwszy w życiu poczuła, że poprosiła o zbyt wiele. Nie rozumiała wskazówek oraz emocji, które były u niej pobudzane za sprawą dusz węży Nyoka. Pilnie potrzebowała odpowiedzi. Powoływała się na swoją lojalność i niezłomność. Uznała, choć arbitralnie, że była godna poznać te tajemnice i zobaczyć diabelstwo, jakie skonstruowali Ćevalończycy, byle tylko utrzymać swoją dominację, a może z czasem przygotować fundamenty pod jeszcze większe zło.

Stała niczym posąg, wiatr niestrudzenie mierzwił jej sierść i poruszał grzywę. Trwała w skupieniu, drogą głębokiej medytacji, może nawet zakrawającej o transcendencję, komunikując się z przyrodą, a także istotami swego czasu przegnanymi z tych wód.

„Zdradźcie mi, dlaczego? Co jest w tych wodach? Czego się boicie? To nie pierwszy raz, kiedy to czuję. Dręczy mnie to od dnia, w którym oddałam się sprawie, przysięgam. Rozumiem, że to profanacja, sprzeciw wobec natury. Czy to jest to, czego się obawiacie?”

Pytała, z coraz większym trudem zachowując swój stan.

„Jeżeli tak, wówczas straszy nas to samo лихо. Lecz ja chcę z nim walczyć. Sama nie dam... Sami nie damy rady.”

W odpowiedzi Quoirą usłyszała przeraźliwe wycie. Brzmienia bólu i udręki, tak silne, aż poczuła jakby coś ścisnęło jej serce. Zniosła to, jednocześnie uzmysławiając sobie, że zaczyna drążyć w dawno zasklepionej ranie. Złękła się, lecz równie prędko zdecydowała, że nie zamierza na tym poprzestać. Jak momentalnie nawiedził ją strach, tak ona w mgnieniu oka go stłamsiła, bo wiedziała, że od jej starań mogło zależeć powodzenie wojowników stojących na straży Bahari. W ogóle, powodzenie planu oblężenia Ngome Hatma i przegnania najeźdźcy. Stawka była zbyt wysoka, by teraz ustąpić.

„Wody, które nas okalają, są szczególne. Zostały poświęcone przez Przodków. Wszyscy z nich czerpiemy. A wy winniście być ich strażnikami. Bez was zwierzyzna, istoty, które żyły z nami w harmonii, przepadły. Poukrywały się, jest ich już bardzo mało na naszych ziemiach. Ale tak nie musi być już zawsze.”

Zaczynała się niecierpliwić. Poświęciła mnóstwo czasu węzom Nyoka, jako że były to istoty o znaczeniu historycznym. Od dawien dawna pływały w wodach Zebryki, lokalne społeczności czciły je jako posłanników Przodków. Dzisiaj nie zostało ich zbyt wiele. Licho wyгнаło je z Morza Rdzawego, zmuszając do egzystencji tylko w głębinach Morza Wężowego i tylko blisko wyspy Quagga.

Quoirą należała do wąskiego grona zebra, które wiązały wyciszenie fauny z pojawieniem się licha, tworząc obszerną teorię, jakoby na ich kraj została rzucona swego rodzaju klątwa. A gdy zabrakło żyjących w zgodzie z naturą istot, które wspierały zebry, potwory rozpanoszyły się, zaś wytresowane przez najeźdźców bestie nie miały problemów ze sterroryzowaniem niegdyś wolnego, spokojnego kraju. Zebry nie mogły same ich powstrzymać.

Lecz od jakiegoś czasu dokonywał się pełen przełom. Quoirą, poprzez lata cierpliwej, pieczołowitej pracy, jak również poświęcenia dla wspólnej sprawy, dowiodła o swej wartości. Dostąpiła tego zaszczytu i wrota nowych możliwości stanęły przed nią otworem. Jak zażyczyła sobie tego natura, klacz zachowała dla siebie nową wiedzę oraz możliwości. Pozostała taką samą zebrawą jak wcześniej, traktując swych pobratymców na równi z sobą, inspirowując ich do działania i niosąc wsparcie, nie bacząc na ryzyko.

„Rozumiem, że to czai się w waszym domu. Ale nie rozumiem dlaczego miałabym uciekać. Już dość uciekania. Boję się, ale nie zamierzam ustąpić. Nie teraz.”

Sygnały, jakie otrzymywała w odpowiedzi, były bardzo dziwne. Poza boleścią i grozą przebiegała się tłumiona nadzieja, ale i powątpiewanie w jej siłę. Rozważała wszystkie te emocje, z czasem interpretując je jako nagle utraconą wolę walki – kiedy przez pewien czas

wszystko idzie po czyjejś myśli, lecz pod koniec następuje jakieś załamanie, coś, co przekreśla całą dotychczasową pracę i odsyła z powrotem do punktu wyjścia. To było bardzo trudne, ale klacz starała się to zrozumieć.

„To ma się wydarzyć dzisiaj, tak? Jeśli nie uciekniemy, lichy nas pożre, a potem ruszy dalej?”

Teraz w uszach dzwoniły jej najbardziej przerażające, potępieńcze ryki, jakie kiedykolwiek słyszała. Jakby cierpiące istoty były obok niej, jakby tuż przy klaczy umierały w mękach, żywcem obdzierane ze skóry, palone czy przebijane rozżarzonym do czerwoności żelazem. Wydawało jej się, że czuła ich zgryzotę i udrękę. Zmarszczyła brwi, lecz po chwili lekko się uśmiechnęła.

„Próbujecie mnie ostrzec, odwieść od walki. Ale wszystko, co mi pokazujecie, tylko czyni mnie...”

Urwała. Cierpliwie wysłuchiwała lamentu torturowanych istnień, aż te umilkły.

„Teraz czuję prawdziwy gniew. Nienawiść do tego obrzydliwego potwora. Wiem, że muszę walczyć. Chcę go zniszczyć. Chcę was uwolnić. Chcę zwrócić wam dom.”

Cisza. Jakby nagle wszystko, z czym do tej pory konwersowała zniknęło, pozostawiając ją w samym sercu pustki, lecz nie zraziło jej to ani trochę.

„Gdyby mi się nie udało, przynajmniej odejdę w walce, śmiejąc się śmierci prosto w oczy. Jeśli jednak zatryumfuję i zabiję to lichy, czy powrócicie do nas?”

Quoira nie uzyskała odpowiedzi. Nagle poczuła się wyczerpana, znużona. Wzięła głęboki oddech i otworzyła oczy, przedwcześnie kończąc medytację. Ujrzała wzburzone morze oraz zawieszone nad nimi ciemne chmury. Do uszu dotarł szum wody, nogi lekko podmywały lodowate fale. Rzuciła okiem na delikatną piankę, która wciąż trzymała się jej sierści. Westchnęła, po czym wykonała ukłon w stronę morza, a potem spojrzała w niebo i pozdrowiła Przodków.

Nieopodal przechadzało się kilka zebra. Przybyły tu, by przynieść Quoirze doniesienia zwiadowców, lecz gdy spostrzegli, że ta była pogrążona w głębokiej medytacji, oddalili się i postanowili zaczekać. Czas ten upływał im bardzo nerwowo, gdyż wieści bynajmniej nie napawały optymizmem. Kiedy już myśleli, że zdołają podejść i porozmawiać, klacz wydawała się być w środku modlitwy. Jej pobratymcy wzięli głęboki oddech i, po raz kolejny, w milczeniu zaczęli czekać.

Trwało to przez jakiś czas. Chociaż zamierzali otworzyć usta tak szybko, jak Quoirą zakończy modły, jednak to ona odezwała się pierwsza.

– Już tu idą, prawda? – spytała.

– Tak, widziano ich na południu, ale wzięli się jakby znikąd! – odpowiedział z przejściem pasiasty ogier.

– Jakby znikąd? Hm... – zastanowiła się Quoirą. – Dostrzeżliście w okolicy jakieś potwory?

– Nie. Tylko piechota nieprzyjaciela. Ale spodziewamy się, że przybędzie ich więcej!

– Możliwe, że kolejne oddziały nadejdą z zachodu – dodał towarzyszący mu wojownik. – To by się zgadzało. Jakby chcieli nas zatrzymać blisko morza. Najprawdopodobniej, o ile w ogóle posłużą się bestiami, będą to wiwerny – wytłumaczył.

Quoirą kiwnęła głową, a za moment z powrotem zawiesiła wzrok na wzburzonej wodzie. Zamyśliła się. Gdyby rzeczywiście chodziło tylko o wiwerny, nie miałyby czego się obawiać. Ba, węże Nyoka nie miałyby powodów, by uciekać z wód Morza Rdzawego. A jednak sprawy wyglądały inaczej. Ta niewiedza zaczynała wręcz irytować pasiastą klacz. Mało brakowało, a zaczęłyby wyczekiwać starcia z lichem, byle tylko dowiedzieć się czym ono było i jaką dysponowało siłą.

Musiała uzbroić się w cierpliwość. Zatrzymać w sercu cały gniew, całą nienawiść do wroga, aby w odpowiednim momencie podsyć nimi własną wolę walki i z większą niż kiedykolwiek determinacją zgnieść go. Chociaż w mieście mówiło się o dziwnych znakach oraz nawiedzającym zebry przeczuciu, jakoby rozsądniej było się wycofać, wszyscy pozostali na miejscu. Quoirą rozwiała ich wątpliwości. Już niebawem mieli zmierzyć się z Ćevalończykami o Bahari.

* * *

Manewry sił Archibalda w okolicach Autonomicznego Regionu Kilele okazały się bardzo niejasne dla zwiadowców. Wrogowie pojawili się nagle, zajmując ziemie na północ od miasta – z jednej strony wystarczająco blisko, jakby mieli za moment przypuścić szturm, lecz zdecydowanie zbyt daleko, by ruszyć w kierunku chociażby Shoti, czy Mnalii. Wprawdzie zebry miały tam słabszą obronę, lecz, gdyby wszystko zawiodło, miały otwartą drogę odwrotu pod Ngome Hatma, gdzie znajdowało się najwięcej wojowników.

Nie było mowy o przerwaniu oblężenia, zaś podział sił w taki sposób, by w razie potrzeby wyruszyć na odsiecz najbliższym miejscowościom, rozważano jako niewygodną ostateczność, wiążącą się z pewnym ryzykiem. Zmniejszenie sił oblegających stolicę Zebryki mogłyby skusić nieprzyjaciół do wyjrzenia zza bram i próby rozgromienia pasiastych wojowników. Zresztą, jeżeli wrogowie znali drogę, którą mogli się poruszać niezauważeni przez zwiadowców, wówczas mogliby w tym czasie sprowadzić posiłki pod

Mnalię czy Shoti. Sytuacja zebr w centrum kraju znacznie by się pogorszyła. Coraz większe rozpraszenie się mogło zaważyć o rychłej porażce.

Wziąwszy pod uwagę hipotezy dowódców i uwzględnwszy najbardziej prawdopodobne możliwe scenariusze, ustalono, że najwyraźniej Archibald chciał wciągnąć zebr w otwartą walkę, nakłonić je do rozdzielenia sił w poszczególnych regionach, aby później wytłuc pasiaste kucyki, jeden oddział po drugim, stopniowo odzyskując utracone ziemie z powrotem. Podjęto więc decyzję o zachowaniu spokoju oraz bacznej obserwacji ruchów wrogich armii.

Nie zaobserwowano żadnego zagrożenia od strony zachodniej oraz południowo-zachodniej, co Zubrasa postrzegała jako cyniczną grę ze strony znienawidzonego Archibalda. Jakby rzekomo wcale nie miał zamiaru ruszać na Kilele, ponieważ na papierze był to autonomiczny region i nie znajdował się w stanie wojny z kimkolwiek, a jednak przymierzał się do natarcia, gdyż tylko udawał, że podpisane zobowiązania cokolwiek dla niego znaczą. Klacz domyślała się, jak musiał sobie wyobrażać ją oraz cały jej rodzaj władca południa – wszyscy mieli być jego własnością, z którą mógł uczynić cokolwiek, co mu się żywnie podobało.

Zdenerwowana Corda, wraz z grupą innych zebr, w pocie czoła badała mapy oraz rozważała na głos kolejne tezy, któredy to mogli przemieszczać się Ćevalończycy. Większość znanych szlaków odpadała w przedbiegach, jako że były one całodobowo obserwowane i szczególnie strzeżone. Pasiąści zwiadowcy mieli oko również na południową granicę. Stamtąd do Zebryki wiodła w zasadzie tylko jedna droga. Burza mózgów nie przynosiła rezultatów, toteż kucykom pomалу zaczynały kończyć się pomysły na możliwe wyjaśnienia tej kwestii.

W pomieszczeniu znajdował się również Kiwi, jednak, co było do niego niepodobne, milczał. Z uwagą słuchał starszych od niego zebr, a przede wszystkim siostry. Ostatnimi czasy pasiasty ogierek bardzo się zmienił i rzeczywiście nabrał pokory. Mało kto wierzył, że malec wytrwa w swych postanowieniach, a tymczasem udało mu się wszystkich zaskoczyć. W pewnym momencie coś mu przyszło do głowy. Bardzo długo wzbraniał się przed zabranie głosu, lecz napięcie w końcu zwyciężyło. Kiwi podskoczył i pomachał kopytkami, starając się zwrócić na siebie uwagę zgromadzonych.

– Ja wiem! Ja wiem!

Zubrasa skrzywiła się i zacisnęła zęby, prosząc brata aby się uspokoił, ale on nie posłuchał. Jednym susem doskoczył do waliochaguliwy run ochrony, która z uwagą wysłuchiwała Kiwiego.

– Wymyśliłem! Wiem jak oni się tutaj dostają! – mówił ogierek, podskakując z przejęcia i wlepiając swoje dziecięce, wielkie oczy w Cordę. – Nie widać ich na ziemi, czyli muszą latać! Jak ptaki! Przylatują tu i ogółem się pojawiają!

Zebry spojrzały po sobie, a Zubrasa mocniej zacisnęła zęby, łapiąc się za głowę. „Powtórka z rozrywki” – pomyślała sobie. Jednak zachowała spokój. Wtedy to odezwała się Corda.

– Dlaczego tak uważasz? Jak mieliby przylatywać? Masz na myśli pegazy, tak?

– Nuh-uh! – Malec energicznie pokręcił głową. – Może, jak mają te latające potwory – mówił, brykając w tę i nazad – to oni na nie wsiadają, przylatują tutaj i już! A potwory lecą dalej albo zostają! Co wy na to?

Zdziwiona Zubrasa powoli odjęła kopyto od oczu. Początkowo nie chciała tego przyznać, ale rzeczywiście, było to całkiem możliwe. Czyli jednak Kiwi nie chciał znów jej zdenerwować.

– Czy ja wiem? – zastanawiała się na głos Corda. – Nieprzyjaciół są całe oddziały. Ile taka wiwerna mogłaby unieść kucyków?

– I żeby przylatywali w pełnym rynsztunku? – spytał jeden z ogierów.

– Skąd mieliby lecieć? Nie sądzę, aby na jednej wiwernie grupa kucyków mogła oblecieć całą Zebrykę – przemówił inny wojownik. – Ewentualnie góry, które oddzielają nas od Êevalonii. – Kucyk oparł się o stół i pochylił nad mapą południa. – Nie wydaje mi się. Zauważylibyśmy, gdyby były tam jakieś struktury. Hm. – Spojrzał w górę, zamyślił się. – Jak mogłyby wyglądać takie budynki, gdzie trzymano by wiwerny i gdzie zbierałby się wrogowie, by ich dosiąść i odlecieć?

Kiwi pomyślał przez chwilę, zwilżył usta językiem, a po chwili znów się uśmiechnął i zaczął mówić. Rozpierała go energia, więc jednocześnie brykał to tu, to tam.

– A może oni tak na płachtach? Wiecie, jak ja się kiedyś bawiłem! Że... – malec zaczął skakać w taki sposób, jakby grał w klasy. Tyle, że ścieżki jego skoków tworzyły mniej-więcej kwadrat. – Że każdy potwór łapie za róg i na tej płachcie są kucyki albo jakieś maszyny! I to tak latają grupami, o! – pokazywał.

– Cóż. Z jednej strony jestem w stanie to sobie wyobrazić, ale z drugiej... – powątpiewała Corda, lecz malec jej przerwał.

– A na dół się zsuwają z lin! Wiecie, jak ja kiedyś spadłem z drzewa!

Zubrasa uśmiechnęła się i odetchnęła. Ton głosu brata, jego energia oraz dziecięce, rozmarzone oczy, podziały ją kojąco na jej troski. Wziąwszy pod uwagę fakt, że starał się, najlepiej jak potrafił, wytłumaczyć trapiącą zebry zagwozdkę, pasiasta klacz po prostu nie mogła się na niego gniewać.

– Daj spokój, młody! Zauważylibyśmy, jakby po niebie latały jakieś bestie – rzekł stanowczo tęgi ogier o krótkim zaroście.

– Może rzeczywiście latają, tylko na innych stworach? – zastanowiła się Corda.

– A jeśli mają jakieś pojazdy? Wiecie, jak łódki, tylko że pływają nimi po niebie! – dodał od siebie Kiwi, przeskakując wzrokiem między zmieszanymi zebami. – O! Zubrasa, a ty jak myślisz? Powiedz nam! – poprosił, klusując ku siostrze.

Klacz wyglądała na zakłopotaną, lecz w swojej wypowiedzi dała do zrozumienia, że w spekulacjach jej młodszego brata mogło kryć się ziarenko prawdy. Osobiście była sceptyczna, lecz nie skreślała tych hipotez. No bo rzeczywiście – co jeśli Ćevalończycy mieli w zanadru coś, czego żadna zebra wcześniej nie widziała i właśnie to wykorzystywali do transportowania swoich sił? Jakaś tajna broń?

Malec był z siebie bardzo dumny. Chichotał i podskakiwał, co z czasem zaczynało irytować zebranych. Uznawali to za niestosowne, jako że Kilele było zagrożone, toteż sytuacja wymagała najwyższej powagi.

Zubrasa jednak obroniła brata, z czasem kierując konwersację z powrotem na tematy związane z logistyką oraz możliwymi scenariuszami, na które obrońcy regionu musieli zareagować, gdyby do realizacji któregośkolwiek z nich doszło. Wtedy do pomieszczenia wszedł goniec. Wyglądał na mocno zdenerwowanego. Ciężko dyszał, nie mógł ustać w miejscu, z trudem składał zdania.

– Nowe wieści! Uff... – ogier otarł pysk. – Właśnie dostaliśmy raport! W naszym kierunku zmierzają kolejne oddziały piechoty, ale z południowego zachodu!

– Chcą nas odciąć od pozostałych miejscowości – zauważyła Corda.

– Tego jeszcze tylko brakuje, żeby próbowali zająć wody, do których mamy dostęp. Odciąć nas od Quaggi. Albo ją zaatakować! – myślała na głos Zubrasa. – Od strony zachodu, na pewno? Którędy się przedostali?

– O nie! Nie możemy do tego dopuścić! – zmartwił się Kiwi. – Przecież tam, wokół wysp! Pływają węże Nyoka! I jest wujek Mkali! Nie wolno im!

Zebry zgromadziły się wokół gońca. Zadawały pytania, a on starał się im odpowiedzieć, choć poruszenie było duże i przychodziło mu z trudem zrozumienie czegokolwiek, kiedy wiele kucyków mówiło jednocześnie. Kiwi podskakiwał najwyżej jak mógł, chcąc się przebić, dowiedzieć czegoś. Wreszcie z kręgu wystąpiła Zubrasa. Zabrała malca na stronę i posadziła na krzeselku przy stole, na którym leżały mapy.

– Ja myślę, że chcą nas trzymać pod strażą – zaczęła. – Podejrzewam, że mogą mieć w zanadru więcej sił. Akurat tyle, żeby pójść po Shoti i Mnalie, a nam odciąć drogę, abyśmy

nie mogli ani wesprzeć naszych krajan, ani uciec. Szlag by to! – klacz wściekle uderzyła o blat stołu.

Kiwi zaczął pocieszać siostrę, kiedy to podszedł do niej jeden z pasiastych ogierów, podczas gdy goniec rozmawiał z przejętą nowymi doniesieniami Cordą. Reszta zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju, wymieniając się uwagami i komentarzami. Atmosfera była napięta. Szlak póki co pozostawał wolny, więc jeżeli był czas na podjęcie jakichś decyzji, to tu i teraz.

– Powinniśmy zdecydować, czy wysłać kogoś poza Kilele, na północ. Może, ale tylko może, udałoby się ostrzec zebry broniące tamtego regionu, nim będzie za późno.

– Oszalałeś? – wtrąciła się inna zebra. – Przecież oni właśnie na to liczą! Nie wolno się nam dzielić! W Shoti i Mnalii mają przecież swój własny zwiad, na pewno nie ruszą do walki, której nie będzie się dało wygrać!

– A może warto zareagować teraz? – rzucił kolejny kucyk. – Gdybyśmy wyszli im naprzeciw i nie dopuścili do połączenia się tych oddziałów, może udałoby się udaremnić cokolwiek, co chcą nam zgotować.

– Cisza! – zdenerwowała się Zubrasa, ponownie uderzając o stół, lecz tym razem dwoma przednimi kopytami. – Tak, wezmą nas w dwa ognie! A miasto będzie prawie bezbronne! Nie, nie możemy pierwsi pchać się do walki! – wykrzyczała.

– Ale jeśli nie podejmiemy akcji, ci z południowego zachodu zajmą pozycje. Ci z północy pewnie podejną bliżej. Najpierw otoczą Kilele, a potem runą na nas, jak będziemy wyczerpani z zasobów. I wtedy wszyscy przegramy.

– Będziemy mieli zaopatrzenie z Quagga. Będziemy też mogli wycofać się drogą morską – Zubrasa broniła swojego stanowiska.

– A skąd wiemy, że nie odetną nam i tej drogi?

– Bo wokół Quaggi pływają węże Nyoka. Tylko spróbują podplynąć, to zostaną pożarci! – wtrącił się nagle Kiwi, stając w obronie siostry.

Kiwi ledwo trzymał emocje na wodzy. Zawsze marzył o tym, by uczestniczyć w czymś wielkim i otrzymać okazję do wślawienia się, zostania bohaterem. Mógłby wówczas pokazać wszystkim ile był wart i że jego słowa nie były pustymi deklaracjami. Ale jednocześnie obiecał siostrze, że się zmieni, że prędzej będzie w życiu kierować się zdrowym rozsądkiem, aniżeli brawurą.

Wciąż jednak, najważniejsze dla malca było to, że zobowiązał się szanować siostrę i słuchać jej z uwagą, jako że była lepiej doświadczona przez życie i że opiekowała się nim niczym rodzona matka. Do dziś wstydził się swych słów, jakoby była „głupia” i „tchórzliwa”. Właśnie teraz, na własne oczy widział, jak bardzo się mylił. Nie mógł się napatrzyć na jej przywódczą postawę, czuł też wielką satysfakcję za każdym razem, kiedy przekrzykiwała większego od niej ogiera i tłumaczyła mu dlaczego warto było postąpić tak, jak sugerowała.

Był dumny z Zubrasy, jak również z faktu, że był jej młodszym bratem. W dalszym ciągu wtrącał się, bronił klaczy, opowiadał o węzach Nyoka i o tym, że Êevalończycy nigdy nie złamią obrony Kilele. Denerwowało go to, że w zasadzie nie zwracano na niego uwagi. Ale nie przestawał.

– Zubrasa ma rację, trzeba się bronić! To my, my weźmy ich na zmęczenie, żeby ich potem sprzątnąć! Damy sobie radę! – zdzierał swe gardło Kiwi.

– Corda, na litość, wypowiedz się! – zażądał ogier, odwracając się do klaczy. – Przecież też jesteś waliochaguliwą. Zabierz głos, powiedz co mamy zrobić.

Spłoszona Corda odruchowo zacisnęła zęby i cofnęła się o kilka kroków, zerkając to na Zubrasę, to na pasiastego ogiera. Dostyc prędko pozbierała się, po czym odprawiła gońca, który w odpowiedzi uklonił się i popędził na zewnątrz. Chwilę później klacz wzięła głęboki oddech, a następnie skierowała swe kroki ku spierającym się kucykom.

– No cóż... – zaczęła, dosyc niepewnie. Każdy z osobna spodziewał się poparcia wyłącznie jego wizji, a poprzec wszystkich przecież nie mogła. – Jestem waliochaguliwą run ochrony, więc najpewniej będę się czuć w strategiach defensywnych – rzekła.

– Ha, wiedziałem! Prosto w twarz, dryblasie! – zadrwił Kiwi.

– Znam stan naszego zaopatrzenia. Od strony morza nie widać żadnych zagrożeń. W najgorszym wypadku jesteśmy w stanie bronić się nawet tydzień – mówiła dalej klacz. – Poślemy wiadomość do obrońców Mababu Moyo, dzięki wolnej drodze morskiej właśnie. Musimy wytrzymać i poczekać aż nadejdzie wsparcie z innych regionów. To my weźmiemy ich w dwa ognie – oświadczyła pewnie, napawając jednych nową nadzieją, zaś drugich, głęboką konsternacją.

Czas mijał, a zebry nie potrafiły dojść do porozumienia. Jedni chcieli wyjść wojskom Archibalda naprzeciw, drudzy woleli zostać w miejscu i obrać strategię defensywną. A jeżeli była możliwość wysłania wiadomości do zebr działających w pozostałych regionach, zamierzano w tej możliwości skorzystać i zatroszczyć się o posiłki. Kiwi stał murem za siostrą, chociaż marzył mu się wielki bój i chwała. Świerzbiły go wszystkie cztery nogi na samą myśl o rozgromieniu Êevalończyków – dwóch, pięciu, ewentualnie całego oddziału. Ale obietnica to obietnica.

* * *

Od narady upłynęły niespełna dwie godziny. Zebry pozostały w mieście, ale manewry sił Archibalda miały być stale obserwowane. Tylko od tego, jak postąpią Êevalończycy, zależała decyzja o podjęciu walki. Corda żywiła nadzieję, że jakimś cudem obrońcy regionu Kilele będą mieli wystarczająco dużo czasu na porozumienie się z siłami stacjonującymi w Shoti i Mnalii. Liczyła też, że w razie potrzeby zajdą nieprzyjaciół od tyłu i zaskoczą ich, nim

oni podejmą ostateczną decyzję dokąd się udać. A wtedy, z drugiej strony, mieliby na nich spaść wojownicy z Kilele.

Jednakże taki obrót spraw był mało prawdopodobny, gdyż realnie manewry te wymagały znacznie więcej czasu. Niemalże tyle samo, ile maksymalnie mogli się bronić mieszkańcy Autonomicznego Regionu Kilele. Prędzej siły ze Shoti i Mnalii przybyłyby na odsiecz, aniżeli w ramach asysty. A jeśli Êevalończycy mieli w zanadrzu znacznie więcej piechoty i wciąż się gromadzili, mogli złamać obronę Kilele jeszcze szybciej, a to byłaby absolutna tragedia.

Zwracano uwagę również na to, że nie było do tej pory żadnych wieści z innych miast. Może siły Ashfalla zablokowały najszybsze szlaki, a może obrońcy tamtych miejscowości już mieli kopyta pełne roboty. W dalszym ciągu jednak, najbardziej zagadkowe było to, w jaki sposób Êevalończycy niepostrzeżenie przybywali do Zebryki.

Najnowsze raporty nie donosiły o niczym niepokojącym. Wroga piechota pozostawała w miejscu, rozbiła obóz, wypatrzone jakieś maszyny wojenne, lecz zero wieżyczek oblężniczych. Co ciekawe, nikt nie próbował podchodzić od strony północno-wschodniej, wzdłuż brzegu morza. Droga do wyspy Quagga, a także do Mababu Moyo, pozostawała otwarta.

Kiwi z przejęciem przechadzał się po postawionym w stan gotowości mieście. Jak to lubił określać – był na patrolu. Oglądał pasiastych wojowników w pełnym rynsztunku, badał jak wyglądały formacje defensywne, próbował również przyjrzeć się rozlokowanym w odpowiednich miejscach maszynom wojennym, lecz starsi pobratymcy zawsze nakazywali mu odejść i nie przeszkadzać.

Malec niewiele się tym przejmował. Skierował kroki w stronę domu dopiero wtedy, kiedy zaczęło burczeć mu w brzuszku. Miał nadzieję, że zastanie tam Zubrasę. Po swoim patrolu miał do niej kilka pytań, głównie o możliwe formacje, różnice między nimi i ogólnie, ciekawił się czy może wymyśliła jakiś nowy plan?

Rzeczywiście, starszą siostrę zastał w domu – klacz bez pośpiechu jadła zupę. Na widok brata uśmiechnęła się ciepło, chociaż smutek ani na moment nie opuszczał jej oczu. Kiwi próbował ją pocieszyć przez cały czas, kiedy nalewała mu posiłek i przygotowywała stół. Żreback o choczko usiadł nad miską, ostentacyjnie się oblizał i podziękował Zubrasie. Siostra znów odpowiedziała mu uśmiechem, lecz nadal milczała. Usiadła po drugiej stronie i podparła się kopytkiem. Patrzyła spokojnie jak jej młodszy brat łapczywie pałaszował zupę, przy okazji wyrzucając na stół kilka kawałków warzyw, czy plamiąc sobie pyszczek.

Kolejny moment, w którym zdała sobie sprawę, jak bardzo go kochała i że nie mogła bez niego żyć. Jego dziecięca naiwność, rozmarzenie, to było coś, czego ona nigdy nie miała.

Musiała wcześniej dorosnąć i to uczyniła. Ale Kiwi pozostał swoim ośmioletnim sobą. Z jednej strony trochę mu zazdrościła, ale z drugiej cieszyła się, gdyż przeżywała pewne aspekty słodkiego dzieciństwa poprzez niego właśnie.

I dlatego też była przerażona na samą myśl, że mogłoby się mu coś stać. To był jej największy strach. Już dawno zwątpiła w Przodków, zbrzydła jej przemoc. Nienawidziła się za każde zabójstwo, którego dokonała, pomimo tego, że zwalczała wrogów – kucyki, które bez mrugnienia okiem poderżnęłyby jej gardło, czy odrąbały głowę, gdyby tylko nadarzyła się okazja. Po prostu cierpiała. Przymknęła oczy, spod powiek wypłynęło kilka łez, a klacz poczuła tak głęboki żal, aż musiała odwrócić głowę. Nie umknęło to uwadze ogierka.

– E, co jest grane? Czemu znowu płaczesz? – spytał.

Zubrasa przetarła oczy i spróbowała się uśmiechnąć, lecz Kiwi widział, że coś jej leżało na sercu. Nie tak dawno temu by to zbagatelizował czy wyśmiał, lecz dziś był innym sobą. Ale tylko trochę.

– Coś się stało? Co jest, co jest? – Podskoczył, zaniepokojony. – Powiedz mi!

– Nie, nic takiego. Ech... Po prostu... jest coś ważnego i... – mówiła zebra. Z trudem składała zdania, denerwowała się.

Kiwi znów poczuł to samo uczucie, które towarzyszyło mu tamtej nocy, kiedy wrócił z Quagga i zastał zatroskaną, zrozpaczoną Zubrasę – moment, w którym uświadomił sobie jak bardzo jej nie doceniał, a jak bardzo ona go kochała.

Obietnica – tylko o niej myślał Kiwi. Powtarzał to sobie w myślach jak mantrę. Miał przed oczami wujka Mkaliego, zaś w uszach jego słowa i rady. Poczuł przykrość, w oku zakręciła się łza. Kiedy Zubrasa była smutna, on również był smutny. Ale zebrał się w sobie, wyprostował i podszedł bliżej, aby wybrzmieć wiarygodnie i dojrzałe.

– Powiedz mi! Powiedz! – nalegał. – Proszę, nie bądź smutna! Wygramy to! Zobaczysz... Ekhm... – malec urwał i zastanowił się przez chwilę. Przez cały czas patrzył siostrze prosto w oczy. – Proszę, powiedz dlaczego jesteś smutna. Zajmę się tym. Jesteś moją siostrą. Ja... – ogierek przełknął ślinę. – Ja zrobię wszystko. Sprzątnę tych gnojów! Zniszczę ich głupi kraj, żeby nie napadali więcej! Powiedz! Jeżeli znowu będziesz szczęśliwa...

I tak Kiwi, dając upust emocjom, wpadł w objęcia Zubrasy. Oboje zapłakali, ale czuli bardzo silną więź i niezniszczalne, braterskie uczucie, które dodawało otuchy i napawały poczuciem, że w całym tym szaleństwie nigdy nie było się pozostawionym samym sobie. Że były kucyki, którym naprawdę zależało. Nie na starych wierzeniach, nie na ojczystej ziemi, ale na najbliższych właśnie.

– Kiwi, dziękuję ci – zaczęła Zubrasa. – Pytasz co się musi stać, abym była szczęśliwa. No więc... – mówiła, co przychodziło jej z niemałym trudem. – Jesteś dla mnie najważniejszym kucykiem, zawsze nim będziesz. Nie przeżyłabym, gdyby ci niegodziwcy kiedykolwiek zrobili tobie krzywdę.

Kiwi mocniej wtulił się w klacz. Doceniał ją, lecz jednocześnie jej słowa budziły w nim wstyd – w końcu nadal pamiętał jak niegdyś traktował swą siostrę. A teraz? W ogień by za nią skoczył. I czuł, że ona byłaby gotowa zrobić to samo dla niego.

Zubrasa zeszła ze stołka, uklękła, i spokojnie pogładziła braciszka po grzywce. Uśmiechnęła się, a w oczach po raz pierwszy zagościło cokolwiek innego od przytłaczającego smutku.

– Cieszę się, że jesteś taki dzielny. Ale chcę cię chronić. W Kilele są kucyki takie jak ty, wiesz?

– Jak ja? – zdziwił się malec.

– Bardzo młode. Zbyt młode, by walczyć. Albo takie, które nie trenowały, a są po prostu zwykłymi mieszkańcami. Jak to się mówi? Cywile?

Kiwi spojrzał na Zubrasę spod ukosa. Jeszcze nie wiedział do czego zmierzała, lecz już niebawem miał się dowiedzieć.

– Droga morska na wyspę Kilele jest wolna. Chciałabym... – Zubrasa zawahała się przez chwilę. Pytające spojrzenie brata wytrąciło ją z równowagi. – Wolałabym abyś udał się tam wraz z innymi zebami, które nie są w stanie walczyć. Na wyspie będzie bezpiecznie.

Zdziwiony Kiwi przechylił głowę, przez kilka chwil w milczeniu rozważał słowa siostry. Nagle poczuł dreszczyk emocji.

– A-ha! Mam zawiadomić Mkaliego i nasłać na Ćevalończyków węże Nyoka, tak?

– Nie, nie! – zaprzeczyła Zubrasa. – Nie przejmuj się, ale... Chcę dla ciebie bezpieczeństwa. Ja muszę walczyć, ale ty już niekoniecznie. Proszę, popłyn na Quagga. Schroń się tam.

Słyszając to, malec zaczął grymasić. Doceniał troskę siostry, ale w żadnym wypadku nie chciał zostawić jej na polu bitwy samej. On również nie mógł bez niej żyć. Czuł dokładnie to samo – gdyby Zubrasę spotkała krzywda, tragedia, ale zebrom udałoby się zwyciężyć, wówczas co mu było po takim pokoju i ziemi odzyskanej, skoro nie miałby przy sobie najbliższej mu zebry? W Kiwim wciąż tlił się ogień, marzył on o wielkich bitwach i pokonywaniu wrogów, stąd miałby do siebie wielki żal, gdyby wrócił sobie „na gotowe”, nie podejmując żadnego ryzyka.

Owszem, nie oceniał swoich możliwości obiektywnie, naiwnie wierzył, że rzeczywiście był w stanie walczyć z niezliczonymi zastępami nieprzyjaciół i odnosić wspaniałe zwycięstwa. Ale teraz chodziło o coś więcej. Gdyby został w Kilele, solidarnie walczyłby u boku siostry i cierpiał to samo, co ona. Chyba po raz pierwszy w życiu. Jeżeli zebrom pisane było zwycięstwo, wygraliby razem z nią. Jeśli jednak los miał się okazać dla nich dużo bardziej okrutny, poległby również razem z nią. Udowodniłby swą prawdziwą wartość.

Było to niezwykle trudne do przełknięcia, ale malec, nie do końca zdając sobie sprawę z wagi przedmiotu swych rozważań, wciąż wiele postrzegał jak przygodę i nie miał problemu z wyobrażeniem sobie nawet tego najtrudniejszego do zwyciężenia. Cokolwiek miałoby się wydarzyć, czuł, że musiał w tym uczestniczyć.

– Nie popłynę! – oświadczył Kiwi. – Zostanę tutaj i będę walczył tak jak ty!

– Przestań! Nie masz pojęcia o czym mówisz! – zaprotestowała Zubrasa, ale Kiwi był nieugięty.

– Przekonasz się, że potrafię! Wszyscy zobaczą! Obronimy miasto Kilele! Sprzątniemy naszych wrogów!

– Nie, nie wolno tobie tak mówić! To nie jest zabawa! – Zubrasa położyła kopyta na łopatkach brata i potrząsnęła nim z lekka. – Wysłuchaj mnie, proszę. Schroń się na Quagga, razem z pozostałymi. Niebawem łodzie będą gotowe. Obiecuj mi, że będziesz się trzymał z dala od wojny, rozumiesz?

– Nuh-uh! Nie zostawię cię tu samej, bo beze mnie sobie nie poradzisz!

Zachowanie młodszego brata pomału stawało się irytujące. Nie miała wątpliwości, iż kierowały nim dobre chęci i poczucie jedności, lecz wciąż był dziecinny, niepoważny. Chciał porwać się na coś, o czym nie miał pojęcia, a ona wszystko to już знаła. Wiedziała, że natychmiast jak tylko Kiwi trafiłby na pole bitwy, gdyby ujrzał na własne oczy całe to okrucieństwo, niegodziwość, krew i brud, zostałby sparaliżowany strachem. Nie byłby w stanie podjąć żadnej akcji. Doświadczenie to zmieniłoby go na zawsze, a ona, mimo wszystko, wcale nie chciała, by się zmieniał.

Choć większość młodych zebr musiała dorosnąć szybciej i zmierzyć się z codziennością, Kiwi nadal był dzieciakiem. I, prawdę mówiąc, Zubrasy nie interesowało już jacy byli inni, a jaki był jej brat. Musiała go chronić. Młody musiał zrozumieć, jak wielkie groziło mu niebezpieczeństwo. Ale co jeszcze mogła mu powiedzieć?

– Powtarzam ci, to nie jest zabawa. I nie ma w tym niczego bohaterskiego. Albo oni zabiją ciebie, albo ty ich. To jest niby takie chwalebne? To jest tragedia. Tragedia, której nie chcę, abys przeżywał.

– Nuh-uh! Sama sobie nie poradzisz, muszę tu zostać! – upierał się ogierek, a klacz zaczynała tracić cierpliwość.

– Ale ty masz przed sobą całe życie, rozumiesz?! – krzyknęła, puszczając Kiwiego i zrywając się na równe nogi.

– E, też masz całe życie przed sobą i co?

– Ale ty go masz więcej, uparty gówniarzu! – zagrmiała Zubrasa, tupiąc kopytami. – Znowu musisz wszystko psuć? Nie możesz mi uwierzyć na słowo, jak bardzo niszczy to kucyka? Jak zmienia go w jego własny cień? Jak pozbawia smaku życia, czyniąc z żywej zebry pustą, snującą się w tę i nazad skorupę? Tego chcesz? – wypytywała ze wzburzeniem – Masz stąd uciekać i się na mnie nie oglądać, zrozumiano?

Kiwi nie przejął się obraźliwymi słowami i, wbrew temu, czego chciałaby Zubrasa, upierał się, że zostanie w Kilele. I to był moment, w którym klacz zaczęła histeryzować. Krzyczała, rwała sobie włosy z głowy, chodziła to tu, to tam, wygłaszając pełne rozgoryczenia monologi. Ale malec był nieugięty. Była święcie przekonana, że miała słusność i że właśnie to było dla żrebaka najlepsze. Sęk w tym, że on uważał podobnie – by zachować się porządnie, musiał zostać w mieście, zaś jego wsparcie było tym, czego potrzebowała Zubrasa.

W pewnym momencie klacz zatrzymała się i, wciąż ciężko dysząc, spostrzegła stojącą w progu Cordę. Nie miała pojęcia od jak dawna koleżanka była w pobliżu i jak wiele usłyszała. Na chwilę zastygła w bezruchu, aż znów zaczęła się denerwować.

– Zrób coś, bo ja nie wytrzymam! On nic nie rozumie, nie chce popłynąć na Quagga! Powiedz mu, pomóż mi! – żaliła się, górując nad spłoszoną Cordą.

– No i teraz widzę, że Zubrasa serio sobie nie daje rady – wtrącił się Kiwi. – Zostanę i pomogę. Będę walczyć! Ja chcę ich bić, zabijać!

Na te słowa Zubrasa stęknęła z nerwów. Corda poczuła się – nie po raz pierwszy zresztą – zakłopotana zastaną sceną. Pasiasta klacz znów szukała u niej pomocy, a ona nie była pewna, jak powinna się zachować. Zwłaszcza, że w zająściu znów uczestniczył Kiwi. Przynajmniej nie płakał, ani nie przeżywał tego tak, jak siostra, no i nie skakał z miejsca na miejsce, ani nie dokazywał. To wiele ułatwiło. Corda nie miała wątpliwości, iż malec bynajmniej nie był z tego dumny, że znów doprowadził Zubrasę do hysterii, ale jednocześnie nie odczuwał wyrzutów sumienia. Po prostu chciał robić to, co – jego zdaniem – do niego należało.

Corda dała Kiwiemu znak, że wszystko jest w porządku i że nie powinien się denerwować. Malec, wyraźnie zmieszany, usiadł przy stole i wrócił do jedzenia zupy, która zdążyła już nieco ostygnąć. Ona sama zaś, zabrała Zubrasę do sąsiedniego pomieszczenia, by pomóc jej się uspokoić. Na szczęście nerwy klaczy nie wynikały z załamania.

Corda postanowiła spożytkować trochę czasu na pogodzenie rodzeństwa. Nie była to pierwszozna – waliochaguliwa run ochrony często pełniła rolę mediatorki między Zubrasą, a

Kiwim, łagodząc emocje i zwracając uwagę na to, co najważniejsze, lecz za każdym razem bała się i uważała, by przypadkiem jeszcze bardziej ich nie poróżnić. Chociaż Zubrasa wątpiła, przekładała dobro najbliższej rodziny ponad dobro narodowe, to zdawała sobie sprawę, że podziały wśród zebr były tym, na co liczyli nieprzyjaciele. Niezależnie od swych poglądów, nie mogła pozwolić sobie na rozbrat czy gniew. Był to bowiem czas, w którym ponad wszystko najważniejsza była jedność.

* * *

Lało jak z cebra, gdy bitwa o Bahari nabierała tempa, z czasem zatracając w sobie jakąkolwiek strategię czy szyk. Ostatecznie starcie sprowadziło się do brutalnej siły oraz do tego, kto wytrzyma więcej. Istne przeciąganie liny między zdeterminowanymi zebrami, a pracymi naprzód Êevalończykami, po których stronie było więcej strat, co dodawało pasyastym wojownikom wiary w tryumf.

Quoira trzymała się z tyłu, niedaleko oddziałów walczących na dystans. Wielokrotnie namawiano ją do przyzwania jakichś stworzeń czy próby wpłynięcia na umysły nieprzyjaciół, lecz klacz ignorowała te prośby. Oszczędzała siły na najgorsze, a miała stuprocentową pewność, że ono nastąpi. Czekala aż lichu się ujawni, dając jej kolejną szansę na dowiedzenie swej odwagi. Tym razem stawka była znacznie wyższa, gdyż nie chodziło już wyłącznie o nią i jej możliwości, ale o daną naturze obietnicę, a także zwrócenie domu tym, którzy przez lata prowadzili ją poprzez medytację oraz opatrność. Coś, czego do tej pory nie dała od siebie żadna inna zebra.

Wrzaski zabijanych wojowników oraz przykry szcęk oręża skutecznie wytręcały zebrę z koncentracji. Sprawę pogarszały odpychające widoki upadających nieparzystokopytnych, którzy byli albo brutalnie dobijani, albo trатовani. Krew mieszała się ze zmiękczoną deszczem ziemią, a brnięcie coraz dalej i dalej, na przekór znieawidzonym Êevalończykom, stawało się nadzwyczaj uciążliwe. Pomimo tego, bitwa przebiegała pomyślnie dla strony zebrykańskiej. Pasiaste kucyki lepiej znały teren, lepiej się po nim poruszały, a także sprawniej radziły sobie w trudniejszych warunkach pogodowych. Paradoksalnie, ulewa utrudniała działania bardziej Êevalończykom, aniżeli zebr.

Jednak z czasem rozpętała się burza, a błyskawice rozświetliły zachmurzone niebo, tworząc wyjątkowo mroczną atmosferę. Pojedynek stał się jeszcze bardziej brudny i bezwzględny, zaś Quoira zaczynała postrzegać wszystko, co ją otaczało za ostatnie, dosyć rozpaczliwe ostrzeżenie natury – aby stąd uciekać, ratować się.

Ale klacz pozostawała nieugięta. Dla niej liczyła się tylko złożona obietnica, a także przyszłość Zebryki. A przyszłość ta wiązała się wyłącznie ze zwycięstwem – wyrwaniem kraju z kopyt Êevalończyków, odbudowaniem jego świetności, odzyskaniu wolności oraz dumy z tego, kim się jest. W grę nie wchodził żaden kompromis. Tego nie dało się przeliczyć

na żadne dobra materialne i nawet jeżeli kampania miała się nie powieść, było warto. Każdy dzień walki był dniem sprzeciwu wobec ciemżycieli, a każda przelana za sprawę kropla krwi, każdy oddech, czy wypowiedziane słowo, wszystko to było warte nieporównywalnie więcej niż dalsze życie w niewoli i strachu. Ta namiastka wolności, niezależności dawała zebrom nadzieję, że warto żyć. To była ich historia i ich wybór.

Dziś, na przekór wszystkiemu, Quoirą postanowiła, że nie zamierza przegrać. Czuła się silna, przygotowana, niewykłuczone, iż sama natura, czy Przodkowie nie zdawali sobie sprawy z tego, jak wielką determinację skrywała w swym sercu. Miała zatem czym ich zaskoczyć. Mogła zapisać się na kartach historii Zebryki inaczej, niż każdy inny wojownik, czy przywódca. Z tego była niezmiernie dumna.

Tak oto nadszedł czas ostatecznej próby. Zebra natychmiast poczuła przytłaczającą aurę zła – skupisko najpotworniejszych nieszczęść, źródło grozy, przyczynę zgryzoty i zwątpienia. Zaraz potem rozległ się odgłos wynurzenia, czegoś dużego. Zebra odwróciła wzrok, zbierając w sobie wszystko to, co wcześniej napęliło ją gniewem. I wtedy to zobaczyła: wyglądające z głębin, owładnięte żądzą krwi, stanowiące srogą obrazę dla natury.

Zebry zlekły się, lecz Quoirą dumnie wystąpiła naprzód, zapominając o regularnej piechocie nieprzyjaciela, a koncentrując swą uwagę na potworze. Wciąż leniwie się wynurzał, spoglądając z góry na pasiaste kucyki, powoli odsłaniając swoje odrażające oblicze. Przypominał węża morskiego, lecz znacznie większego i silniejszego. Nie minęło wiele czasu zanim w blasku błyskawicy dało się dostrzec pysk bestii. Przypominała smoka, lecz o większych ślepiach. Spod pomarszczonych fałdów grubej skóry wydobywały się długie, zakrzywione zębiska. Potwór ryknął przeraźliwie i wówczas okazało się jak długi był jego pysk – jednym kłapinięciem mógłby pożreć nawet kilkanaście drzew.

Zebra patrzyła jak lichy rozwija trzy pary wiwernich skrzydeł. Towarzyszyły temu błyskawice oraz kolejne ryki, każdy jeden bardziej demoniczny od poprzedniego. Kolejny błysk i z tyłu łba potwora wyrosły dwa, wielkie rogi. Gdy spojrzał w dół na przerażone zebry, wydawał się uśmiechać.

Wtem lichy wyskoczyło z wody i wzbiło się w powietrze. Trzy pary skrzydeł jakimś cudem unosiły odrażające cielsko nad ziemią, chociaż niezbyt wysoko. Quoria podejrzewała, że bestia nie mogła latać przez zbyt długi czas. Być może był to jakiś słaby punkt, a może tylko złudzenie. Wtedy to zebra poczuła jak ogarnia ją strach, choć gniew nie opuszczał jej serca. Nadal miała w pamięci wszystkie wartości, którym postanowiła się poświęcić, a także to, o co pragnęła walczyć, lecz teraz poczuła się malutka, nic nie znacząca. W swych najśmielszych wyobrażeniach nie spodziewała się, że z wody wyjdzie takie bydle. Równie szybko pojęła dlaczego natura tak natarczywie ją ostrzegęła.

– Niemożliwe... Jak... Jak z tym walczyć? – zapytała samą siebie Quoirę, nie spuszczać oczu z licha.

– Ćevalończycy rezygnują z walki! Oni rezygnują! – zakomunikował nagle jeden z pasiastych ogierów.

– Odwrót Ćevalończyków, odwrót Ćevalończyków! – zawtórował mu inny woj.

Możliwości były dwie. Albo sami chcieli się ustrzec przed potworem, albo taki właśnie był plan – piechota miała kupić nieco czasu, osłabić obrońców Bahari i rzucić do ucieczki zaraz po tym, jak bestia wyłoni się z wody. Czyżby po to, by odciąć zebrom drogę ucieczki? A może by powrócić później i dobić ocalałych? W ogóle, czy stwór z morza odróżniał wrogów od sojuszników?

Quoira uspokoiła i tak już wystarczająco skołataną nerwy, czym prędzej zbierając myśli oraz moc – by bez przeszkód posłużyć się runami. Potrzebowała mnóstwo wewnętrznej energii, ale krzywda, jaką najeźdźcy wyrządzili jej krajanom, wszystkie zniszczenia, jakie wyrządzili, cała podeptana kultura czy poraniona matka natura, to nappełniło ją właściwymi emocjami.

Zaciskając powieki, klacz uderzyła kopytami o ziemię, a po chwili wyprostowała kolana i szyję. Zastygła w tej pozycji, wyężając umysł. Przez ten czas, kiedy wszyscy wokół panikowali, spieszyli przed siebie, drżąc w cieniu, który rzucił na nich potwór, jej przednia kończyna powoli pokrywała się runami, które w końcu zajaśniały bladą poświatą.

Lecz to nie zwróciło uwagi potwora. Wprawdzie dla Quoiry czas się zatrzymał, przestały do niej docierać zewnętrzne bodźce, a moc zużywała się jak szalona, lecz ona jak na złość nie mogła nawiązać żadnego kontaktu z bestią. Po drugiej stronie po prostu niczego nie było. Wtedy to klacz przedwcześnie otworzyła oczy, a znaki runiczne zniknęły z jej nogi. Zdając sobie sprawę z sytuacji, w której się znalazła, pojęła z czym miała do czynienia. Potwór nie miał żadnej własnej woli. Nie przyszedł na świat, ale został stworzony i opętany. To była abominacja i runy Quoiry nie miały prawa zadziałać.

Bestia zawyla raz jeszcze, po czym bez krzty gracji zapikowała, z głuchym hukiem upadając na ziemię. Wywołała przy tym taki wstrząs, że oszołomione zebry poprzewracały się, a znakomita większość budynków uległa zawaleniu. Ci, którzy mieli pecha znaleźć się najbliższej, zostali dodatkowo ogłuszeni. Kręcąc głową, rozpaczliwie usiłowali wstać czy chociaż popęznąć dalej, znaleźć jakieś schronienie.

Quoira odwróciła głowę. Potwór próbował używać skrzydeł jak odnóży, chociaż nie dawało to wiele. Wyglądało na to, że usiłował czołgać się po ziemi, kłapiąc przy tym paszczą. Ze zgrozą patrzyła jak jej pobratymcy są mieleni przez niezliczone zębiska bestii. Towarzyszyły temu wrzaski i odrażające odgłosy miażdżenia, rozrywania. Ruchy stwora

dewastowały otoczenie, a gdy spróbował przeczołgać się w inne miejsce, kilka zebr zostało przygniecionych olbrzymim cielskiem.

Zebra otrząsnęła się i na nowo zapalała nienawiścią. Zacisnąwszy zęby, jeszcze raz przyjrzała się potworowi z głębin. Choć nie zrodzony z natury, nadal był żywą istotą, a to oznaczało, że dało się go zabić.

– Wszyscy! Nie bać się, atakować! Przedziurawić błoniaste skrzydła! Przyszpilić do ziemi i zatłuc! – zawołała z całych sił.

To był jedyny sposób, jaki przychodził jej do głowy. Głos Quoiry dodał odwagi ocalałym po ataku bestii zebrom. Najwyraźniej nie przerwała działania run w całości. Jej krzanie momentalnie porzucili strach i ruszyli na przeciwnika z godną podziwu determinacją. Czyżby właśnie wpłynęła na ich umysły?

Zebry wściekle dźgały, cięły, kuły, lecz nie zdało się to na wiele. Bestia była chroniona twardym pancerzem, stal nie czyniła jej najmniejszej krzywdy. Kilka ostrzy wręcz się ukruszyło przy którymś z kolei ataku. Przez trudne warunki i trwającą w najlepsze ulewę, niesłuchanie trudno było skoordynować jakieś działanie, czy spróbować przywiązać potwora do ziemi. Zresztą, łańcuchy i haki znajdowały się zbyt daleko. Wiele narzędzi znajdujących się na miejscu zostało zniszczonych.

Bestia gwałtownie zerwała się i popęzła z powrotem do wody. Nastąpił kolejny wstrząs, kiedy potwór wykonał spięcie niczym ryba, po czym wpadł do morza, rozchlapując słoną wodę tak daleko, że niektóre zebry zostały niemalże zmyte z brzegu. Quoirą pomyślała, że lichy było przystosowane do życia głównie w środowisku wodnym, więc na powierzchni musiało radzić sobie gorzej, lecz nie była w stanie stwierdzić czy mogło oddychać poza głębinami, czy jedynie wytrzymać określoną ilość czasu.

– Jakieś słabe punkty?! Mówcie! – zażądała pasiasta klacz.

– Nic a nic! To jest pokryte jakimś grubymi płytami! Przerwy między nimi są bardzo wąskie! – odpowiedział jeden z wojowników, przemoczony od kopyt po czubek uszu.

– Chyba widziałem krew! Między płytami jest wrażliwa skóra! – powiedział inny ogier.

Quoirą przez moment rozważała odwrót. Patrzyła na zniszczone budynki, zmiażdżone struktury obronne, a także wielkie ślady, jakie zostawił po sobie potwór. Woda częściowo zmyła z ziemi krew, lecz nadal dało się dostrzec szczątki zabitych zebr. Ci, którzy wciąż żyli, byli rozproszeni, bardzo wyziębieni. Sprawy wyglądały coraz gorzej, zaś kolejny przeraźliwy ryk i następna, potężna fala zapowiedziały ponowny, równie bezlitosny atak.

– Rozproszyc się! Czekać, aż upadnie! – poleciła zebra, ruszając jak najdalej od brzegu.

Kucyki rozbiegły się po okolicy, czuwając nad ruchami stwora. Oczywiście na tyle, na ile pozwalały im warunki pogodowe oraz pozostałe siły. Chodziło o to, by nie stać w dużych grupach, kiedy ten będzie atakować, ale wywołać zamieszanie, utrudnić mu wybór celu. I rzeczywiście, stwór uniósł wyżej głowę, sprawiając wrażenie jakby się rozglądał, w amoku ogarniał wzrokiem obszar pod sobą.

Niespodziewanie, grad pocisków ze świstem przeciął powietrze, trafiając lichu w łeb. Quoirą nie wydała żadnego polecenia – jakieś zebry musiały pobiec do działających katapult i wystrzelić w stronę potwora, rozjuszając go. Wąż runął na ziemię, wywołując jeszcze większy wstrząs, niż poprzednim razem. Niemalże wszystkie pozostałe budynki zawaliły się, a drzewa zostały powalone, połamane pod ciężarem bestii. Kiedy drgania nieco się uspokoiły, można było rzucić okiem i ocenić sytuację. Bahari zostało niemal doszczętnie zrównane z ziemią. Większość obrońców wybita. Szanse na pokonanie potwora – żadne.

Kiedy pasiasta klacz już myślała, że będzie zmuszona złamać daną obietnicę i zarządzić odwrót, zauważyła jak jej krajanie zbierają się w grupy i, odnajdując w sercach odwagę, ze wszystkich sił próbują ubić potwora. Tym razem znajdował się dalej od wody, wyglądał na osłabionego. Zebry skierowały ostrza ku jego głowie, mając nadzieję na odnalezienie słabego punktu.

Po chwili do walki dołączyły kolejne kucyki. Przyniosły sieci, łańcuchy, liny, cokolwiek, co tylko nadawało się do wykorzystania – spróbowały przyszpilić stwora do ziemi. Oplotły ciało, wbiły z ziemię haki, zaczęły zawiązywać węzły. Niektórzy, jeżeli mieli pod kopytem ciężkie narzędzie, bez opamiętania uderzali we wroga, nie bacząc czy trafiali pancerz potwora, czy jakieś wrażliwe na obrażenia miejsca.

Wtem wszystkie ich starania zostały zniweczone, gdyż jednym poderwaniem się zostały wyrwane wszystkie haki, łańcuchy pękły jak gałazki, a sieci zsunęły się. Jednak to nie nagły przypływ sił czy krew pożeranych zebr pobudziła lichu. Jeden z wojowników rzucił harpunem i trafił bestię w oko, a kiedy ta otworzyła paszczę i ryknęła, pozostali zaczęli dźgać wnętrze jamy ustnej, powodując rozległe rany. Nareszcie.

Potwór wściekle zrywał się, pełzał z powrotem do wody, a z jego pyska wylewała się czarna krew. Zebry pogoniły za nim, korzystając z każdej okazji, by zaatakować. Wszystko mogło mieć znaczenie – każde, choćby najmniejsze osłabienie potwora było na wagę złota.

Podbudowana tymże widokiem Quoirą nabrała nowych chęci. Jednocześnie zdała sobie sprawę, że ulewa pomału się kończy, chociaż nad Bahari nadal wisały ciemne chmury,

a zimny, porywisty wiatr wciąż dawał się we znaki. Bardzo prawdopodobne, że lada moment znów zacznie mocno padać, toteż należało wykorzystać okazję.

Choć zebry były zmęczone, teraz to one poczuły krew. Ponadto otrzymały zastrzyk adrenaliny. Jeden z osobników chwalił się, że, wywijając ciężkim młotem kowalskim, wybił potworowi zęba. Pokazywał innym zdobycz, na której wciąż znajdowały się kawałki naderwanego dziąsła. Jednakże najwięcej pochwał zbierał śmiałek, który celnie rzucił harpunem i zranił bestię w oko.

Pojawił się prosty plan – wytrzymać jak najdłużej, wabić stwora na powierzchnię i zadawać mu rany, dopóki nie będzie w stanie powrócić do wody. Wtedy miał zostać załuczony czy zadżgany. Quoirą powątpiewała, że ich nowy wróg będzie bezmyślnie powtarzać te same ruchy, za każdym razem zbierając tęgie baty i nie wyciągając wniosków. Była pewna, że będzie się dostosowywać, aż wybijie wszystkich, na tyle monstrum to było inteligentne.

Wzięła głęboki oddech i przygotowała się do kolejnych ataków potwora. Pełna determinacji, choć już nieco opadnięta z sił, rzuciła się do walki.

* * *

Upłynęło może z dziesięć minut. Zginęło kilka zebra, pozostali byli straszliwie wycieńczeni. Na nogach stała dosłownie garstka obrońców. Absolutnie ostatni z ostatnich. A wśród nich Quoirą. Zmęczona, miała za sobą kilka rozpaczliwych prób nawiązania kontaktu mentalnego z potworem, lecz każda z nich była nieskuteczna. Potwór został przez kogoś stworzony, nie myślał sam za siebie, wykonywał polecenia. Tyle tylko zdołała wynioskować pasiasta klacz. To samo, co poprzednim razem.

Licho było mocno poranione, lecz nadal miało w sobie mnóstwo wigoru. Nie przestawało atakować. Ta część Bahari, która znajdowała się najbliżej morza, była zrównana z ziemią. Nie zostało nic. Nietrudno było odgadnąć, że nie wpływało to zbyt dodatnio na morale pasiastych wojowników, ale mimo wszystko chcieli walczyć.

Stwór znów wyłonił się z wody. Poprzednio wykonywał różne manewry, wzbijał się w powietrze, pluł wodą, gryzł, czołgał się, z czasem pochłaniając kolejne ofiary. Teraz po prostu podpłynął bliżej, wyglądając nad brzeg. Jedno z oczu potwora zdążyło wypłynąć, a z pyska ściekała ciemna krew, gdzieś na ciele, blisko głowy, widoczne były szramy, rozcięcia, biegnące nieregularnie między płytami pancerza. W ogóle, jedna z płyt trochę odłaziła od ciała. Mimo obrażeń, potwór zachowywał się bardzo agresywnie i nie odpuszczał.

Zadał silniejszy wicher, a liko powoli odwróciło głowę w stronę Quoiry. Klacz wiedziała doskonale, że prędzej czy później to właśnie ją obierze sobie za cel. Pomału

otworzył paszczę, ukazując swe zębiska. Zebra mogłaby przysiąc, że uśmiechał się złowieszczo, ale nie zamierzała przestać. Chociaż ciało zaczynało dawać sygnały, że to już koniec, klacz szła w zaparte.

Potwór ryknął, po czym uderzył pyskiem o ziemię, próbując trafić w Quoirę, lecz klacz ominęła atak. Po chwili zaczął kłapać paszczą, ale, w związku z kolejnymi unikami zebry, pożerał jedynie ziemię czy pozostałości po budynkach, machinach. Zebry były rozproszone i wycieńczone. W okolicy nie było nikogo, kto mógłby ją wesprzeć. Wypuściła powietrze z płuc, desperacko próbując utrzymać prostą postawę ciała.

Licho spojrzało na swoją zdobycz jedynym zdrowym okiem, jeszcze szerzej się uśmiechając. Quoirze wydawało się, że słyszy jak w jej stronę galopują sojusznicy. Ale to nie miało już znaczenia. Była zbyt słaba, by wykonać kolejny unik. Musiała złapać oddech. Ćwierć minuty, może pół. Wystarczająco dużo czasu dla potwora.

I wtedy, nie wiadomo skąd, zza chmur wyłonił się jakiś kształt. Przeciął chyżo powietrze, po czym pochwycił Quoirę i w ostatniej chwili zabrał ją w przestworza. Wyteżając wzrok, zebry dostrzegły niebieską strzałę, dzięki której klacz uniknęła śmierci, lecz zdenerwowany potwór natychmiast odwrócił głowę w tamtym kierunku. Zdenerwował się. Kilkukrotnie kłapnął szczęką, ryknął, mało co nie zwalając pasiastych kucyków z nóg, po czym wściekle ruszył w pogoń.

To był Fenrir, który przez większość czasu pozostawał w ukryciu. Quoirą wielokrotnie pytała wojowników, co się z nim stało, co robił. Denerwowała się, niepokoiła, jakby czuła w kościach, że nieobecność pegaza zwiastowała coś złego. Nie ufała mu, bo był Ashfallem. Podejrzewała go o wiele rzeczy, toteż nic dziwnego, że odnosiła się właśnie tak, a nie inaczej.

Jednak na moment pojawił się promyk nadziei. Przytrzymując Quoirę, Fenrir manewrował w powietrzu, odciągając potwora coraz dalej i dalej, w kierunku morza. Podekscytowane zebry ruszyły na brzeg, żeby móc lepiej obserwować co się działo. Żaden z kucyków się nie zatrzymał. Z zarzuconym na grzbiet okryciem, klusem przechadzały się brzegiem, bądź też krążyły w kółko, by ustrzec się przed nagłym zawałem. Cały czas patrzyły w dal, w kierunku morskiego potwora, który próbował pożreć Fenrira i Quoirę.

Zebry miały złe przeczucia. Dlaczego pegaz bez słowa ujawnił się dopiero teraz? Co zamierzał? Żaden z możliwych planów obrony Bahari nie zakładał tego typu działań. Quoirą była już bardzo daleko, ale mogli przysiąc, że krzyczała. Coś było nie tak.

I nagle ziściły się ich najgorsze obawy. Czas jakby stanął w miejscu, a zebry nie mogły uwierzyć, że to się działo naprawdę, choć scenę miały zaraz przed swymi oczyma. Oto Fenrir, potomek wyklętego przez zebry rodu Ashfall, oddalił się na wystarczającą odległość,

poderwał nieco wyżej, a gdy potwór otworzył szeroko paszczę, po prostu wrzucił do środka wrzeszczącą wniebogłosy Quoirę.

Pasiaści wojownicy nic nie mogli na to poradzić. Nawet jakiś czas po zdarzeniu, nie byli w stanie się otrząsnąć. Fenrir ich zdradził. Ba, pewnie nigdy nie był po ich stronie – tak pomyśleli. Siły Zebryki utraciły zatem waliochaguliwę run przywołania, jedną z najpotężniejszych i absolutnie kluczowych dla sprawy. Została pożarta przez lichy z morza, które wcześniej przegnało stąd węże Nyoka.

Stało się. Potwór najwyraźniej nie do końca rozumiał, kto mu pomógł, gdyż natychmiast ruszył za Fenrirem, który poleciał dalej, na wschód. A może po prostu pegaz tak czy inaczej miał się pozbyć zebry, a to była jedna z możliwych metod? Nieważne.

– Obrzydliwy zdrajca! Ten... Ten przeklęty Ashfall! Niech przekłeta będzie ich krew i niech zgubiony będzie każdy, kto ją dzieli! – wykrzyczał jeden z ocalałych.

– Hańba. W taki sposób? Nie wierzę. Nie wierzę! – dorzucił inny ogier. – Lada chwila Quoirą znajdzie się u Przodków! Co mamy robić?

– Uciekać! Póki jest czas, uciekać stąd, jak najdalej!

Słowa te skołowały większość zebry, lecz żadna nie zamierzała ich kontestować.

– Zostaliśmy tylko my! Nie mamy szans z tym bluźnierstwem! A prawie całe Bahari zniszczone! Niczego już tu nie wywalczymy!

– Ale dokąd? Mababu Moyo? Salama?

– Salama! – Pasiasty ogier przełknął ślinę. – Pamiętacie? Jeśli tu przegramy, to wycofywać się do Salamy! Zdać raport, zawiadomić o zagrożeniu i jego skali! Przygotować się do odwetu! To musimy teraz zrobić!

Zebry zgodziły się, po czym ruszyły na zachód, w kierunku miasta Salamy. Nadal dręczyły je dramatyczne obrazy, które ujrzały ledwie kilka chwil temu. Powstrzymywały gniew i żal, koncentrując się na ucieczce z Bahari. Bitwa była przegrana, a waliochaguliwa run przywołania stracona. Potwór może dopadnie zdrajcę, lecz czy należało się spodziewać kolejnych ataków bestii w innych regionach Zebryki? Czy lichy mogło być dużo potężniejsze, niż nakazywało sądzić doświadczenie? A może na zebry czyhało coś znacznie gorszego?

Wyglądało na to, że odpowiedzi na wszystkie te pytania przyniesie jutro, lecz niezależnie od tego, jakie się okażą, na zebry czekały ogromne tarapaty.